

# Wias

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III

Łódź, 19 maja 1946 r.

Nr 18-19 (46-47)

ADAM POLANCZYK

## Przed i po zwycięstwie

Jedno musimy sobie powiedzieć jasno i wyraźnie: gdyby sojusz chłopsko-robotniczy miał ograniczyć się do wspólnej obrony przed zakusami reakcji i stać się jedynie środkiem do zdobycia w parlamencie większości przez stronnictwa Lewicy — nie spełniłby on swego zadania. Sojuszowi temu nadaje szczególną wagę i znaczenie to, że stwarza on bazę wyjściową do prac nad przebudową społeczną i gospodarczą naszego państwa. Zwycięstwo nad siłami reakcji i utrwalenie ustroju demokratycznego, opartego o normy konstytucyjnoprawne gwarantujące spójność i trwałość gmachu Polski Ludowej — to dopiero praca przy fundamentach i nie wolno ani przez chwilę przypuszczać, że po jej wykonaniu chłopcy, robotnicy i pracująca inteligencja będą się mogli rozejść każdy w swoją stronę — niby Lech, Czech i Rus.

Przeciwnie: w pierwszej wojennej fazie demokracji sojusz ten można traktować jako przymierze militarne zwrócone przeciw wspólnemu wrogowi, ale właściwie jego znaczenie okaże się dopiero wtedy, gdy po okresie walki o wprowadzenie i utrwalenie demokracji przyjdzie okres demokratycznego budownictwa.

Sojusz bojowy nie wymaga ścisłego współzycia grup współwalczących, wystarcza utrwalenie w opinii obu współpracujących obozów świadomości wspólnych celów i uzgodnienie metod działania. Dopiero kiedy walka jest już zakończona, wpływa zagadnienie umocnienia sojuszu, wpływa kwestia głębszego i bardziej zasadniczego zjednoczenia grup sprzymierzonych.

Rzecz bowiem jasna: jeżeli sojusz teraz nie pogłębi się, jeżeli nie przerodzi się w pewnego rodzaju unię tworzącą z dwu obozów jeden, odżyją wszystkie dawne antagonizmy i nieporozumienia, wypłynie znów na powierzchnię wszystko to, co dzieli i rozróżnia sprzymierzeńców, a co dotychczas było usuwane w cień i tłumione przez wymagania okresu walki ze wspólnym wrogiem. Rzecz jasna bowiem, że antagonizmy takie istnieją i umyślną ślepotą byłoby niezadawanie sobie sprawy z tego faktu. Odmienność rodzaju pracy, odmienność sytuacji ekonomicznej, odmienność tradycji kulturalnej i stylu życia — oto elementy, które nie mogą pozostać bez wpływu na sposób myślenia i odczuwania członków różnych grup społecznych. Jakże łatwo może wyłonić się tu spór o pierwszeństwo, o zajęcie stanowiska nadrzędnego w stosunku do dotychczasowego sprzymierzeńca.

Jeżeli sojusz chłopsko-robotniczy ma zdać egzamin w czasie pokojowego budownictwa, musi nastąpić asymilacja ideologiczna obu środowisk, muszą zostać w

drodze rozsądnej i rzeczowej polityki zlikwidowane wszystkie przyczyny wzajemnych zadrzań i nieporozumień, a z obu stron musi być podjęty wysiłek twórczej współpracy.

Z jednego trzeba sobie dobrze zdać sprawę: aczkolwiek robotnik nasz jest przeważnie z pochodzenia chłopem, miasto za mało zna wieś, jej życie, troski i potrzeby. To samo można powiedzieć o znajomości miasta na wsi. Tam nawet, gdzie część rodziny żyje w środowisku wiejskim a część w miejskim, kontakty organiczają się do spraw rodzinnych i ewentualnie

wzajemnej wymiany produktów pracy. Robotnicy i chłopcy, nawet blisko ze sobą spokrewnieni, żyją życiem odrębnym. Bez wzajemnego poznania się i zrozumienia kontakt między dwoma grupami społecznymi musi być zawsze zewnętrzny i luźny. Dlatego też postulat wzajemnego poznawania się, sprawa trwałych i stałych kontaktów między miastem i wsią jest sprawą zasadniczej wagi. Nie wystarczy, że zjadą się na konferencję kierownicy partii politycznych czy jakichś organizacji społecznych lub gospodarczych, powezmą wspólne rezolucje i ogłoszą komunikat, w

którym będzie mowa o obradach „prowadzonych w duchu wzajemnej życzliwości i serdecznej przyjaźni”. Trzeba, żeby jak najczęściej chłopów znało miasto oraz warunki życia i pracy robotnika, żeby nauczyło się rozumieć jego światopogląd. To samo odnosi się do robotników.

Szczególnie doniosła rola przypada tu organizacjom społecznym i kulturalno-oświatowym oraz organizacjom młodzieżowym. Kontakt wsi z miastem musi być jaknajbardziej stały, powszechny i musi być tak organizowany, by dawał możliwość praktycznego zetknięcia się ze środowiskiem odmiennym (np. w pracy, w załatwianiu spraw handlowych i t. p.), a nie ograniczał się do jakichś oficjalnych zjazdów, świątecznych wycieczek i t. p.

Równocześnie jednak musi trwać stała i ścisła współpraca intelektualistów i pracobników obu środowisk. Musimy się wzajemnie zapoznać i zrozumieć. Nie trzeba się lękać wysuwania zagadnień spornych i drażliwych. Lepiej, żeby były one przedmiotem rzeczowej dyskusji prowadzonej w atmosferze szczeroci i zaufania, niż, żeby szeptano o nich po kątach. Miejmy odwagę mówić o tym, co nas dzieli. Miejmy odwagę stawiać sobie wzajemnie zarzuty, brać za przedmiot dyskusji sprawy i fakty odmiennie oceniane w obu środowiskach. Tędy właśnie wiedzie droga do trwałego porozumienia, a nie przez jakiegokolwiek kompromisy i koniunkturalne „uzgadnianie” kwestii spornych.

Rozwój życia współczesnego zbliża wieś do miasta i miasto do wsi. Życie obu tych środowisk zacieśnia się coraz mocniej. Błędem o niesłychanej szkodliwości byłoby dopuścić do tego, by wzajemny stosunek klasy chłopskiej i robotniczej kształtował się wprost pod naciskiem faktów, by nie był świadomie organizowany. Tylko ktoś, kto sam dobrze nie wie czego chce, może liczyć, że „życie” rozwiąże za niego kwestie wątpliwe. Demokracja polska ma pełną świadomość swych celów i zdań. Nie może więc ona pozostawić kwestii wzajemnego kontaktu dwu najważniejszych warstw ludności, przypadkowi i „życiu”, musi ona ten kontakt organizować celowo i świadomie w imię interesów państwa i narodu.

Dopóki walka trwa, okoliczności pracują na korzyść sojuszu: każdy zdaje sobie sprawę, że załamanie się jego — to klęska. Ale, gdy walka zostanie zakończona najświetniejszym nawet zwycięstwem, nastąpi moment krytyczny. Musimy dbać, ażeby nas ten moment nie zaskoczył nieprzygotowanych. Pamiętajmy, że sojusz po zwycięstwie jest nie mniej ważny, niż przed zwycięstwem.

## Wiersze chłopki -- socjalistki

Żywym przykładem współpracy radykalnych odłamów ruchu ludowego i robotniczego była Kachna Łęczynianka - Lesiowska.

Zetknęła się z ruchem socjalistycznym jeszcze w 1905 r. i od tej pory nie traciła już kontaktu z klasą robotniczą.

Twórczość Łęczynianki - Lesiowskiej płynie podwójnym nurtem: jest ona poetką wsi, ale i poetką miasta, dola robotnika i jego bohaterstwa walka obchodzi ją nie mniej niż los chłopca. Rzadko w tej poezji — kobiecej przecież — odzwierciedla się tony łagodnego liryzmu, przeważa w niej nastrój buntu i walki, nastrój protestu przeciw niedoli i krzywdzie.

Kachna Łęczynianka jest sobą tak samo w utworach o tematyce chłopskiej jak i robotniczej. Zna dobrze oba środowiska i oba są jej jednakowo bliskie. W twórczości swojej dała poetka wyraz wspólnym ideałom obu tych klas społecznych, stała się wyrazieliwą społecznym dążeń całego świata pracy.

Przedwczesna śmierć (umarła w czerwcu 1943 r.) przerwała twórczość Łęczynianki, twórczość, która dzisiaj byłaby tak bardzo na czasie, tak trafnie odpowiadałaby nastrojom epoki. Nie ma już Kachny Łęczynianki, ale pozostała jej poezja pełna wiary w chłopsko-robotnicze braterstwo i wole walki o lepszą przyszłość świata pracy. Warto więc przypomnieć dzisiaj twórczość poetki, która nie miała szczęścia dożyć spełnienia się jej marzeń.

KACHNA ŁĘCZYNIANKA-LESIOWSKA

### Bracie

Ty, co w twardej ręce,  
Jak tytan dźwigasz ciężkie światła brzemię,  
Co tysiąckro powstajesz i upadasz  
/ w męce...

W którego duszy tysiąc buntów drzemie...  
Musisz powstać raz jeszcze z podniesionym  
/ czołem

W wielkiej "świata gromadzie, której imię  
/ „Spolem”.

Ty od pluga i młota, od czarnej maszyny...  
Ty milczący, pokorny i Ty zbuntowany  
Co krzykiem chcesz budować „szklanych  
/ domów” ściany

Pierwej musisz zbudować trwałe podwalny  
Pod gmach, który ostoi się przed każdym  
/ gromem,  
Który będzie i „szklany” i żelaznym  
/ domem...

Niechże więc w duszę człowieka utkwie  
/ swoje oczy,

Niech ręce się połączą w stalowe ogniwa,  
Które żadna już siła nigdy nie pozrywa —  
A serce niechaj wspólna idea zjednoczy,  
Która tęcza stubarwną opasze świat kołem  
I nad życiem wypisze jedno hasło  
/ „Spolem”!

### Fabryczne dymy

Pod czarnym dachem nocy —  
Z otwartych wejść kominów,  
W objęciu krwawej łuny,  
Rodzą się kłęby dymów.

Cichutko, bezszelestnie  
zrodzone już nie giną:  
rankami dnem i nocą  
fabryczne dymy płyną.

Zasnęły nocne gwiazdy  
i ranny promień słońca  
i po zielonej ziemi  
biąkają się bez końca.

I czasem tylko cicho  
pośkarżą się przestrzeni —  
zmęczonym ludziom szeptem  
z fabrycznych, gdzieś płomieni.

1928 r.

### Łuny

Ogniste uniosły się łuny do góry  
Czerwienią krwi niebo zbarwiły —  
I pał się czarne podniebne gdzieś chmury,  
A łuny pożary wznieciły...

Fabryczne łuny płonące  
Wolnością...

1935 r.



ZYGMUNT KALUŻYŃSKI

# Władysław Broniewski i poeci chłopscy

## W dniu święta robotniczego

Z pośród współczesnych poetów polskich nazwisko Władysława Broniewskiego zwraca naszą szczególną uwagę. Dzieje się tak nie tylko ze względu na literacką wartość jego poezji, na jej doniosłość w aktualnej twórczości pisarskiej, ani nawet nie dlatego, że Broniewski jest sztandarowym poetą klasy robotniczej, i w dniu jej święta sympatja nasza naturalnym biegiem rzeczy skupia się na jej naczelnym pisarzu. Są to, oczywiście, powody ważne, dla nas jednak ważniejszą jest inna przyczyna: że wzór Broniewskiego ma znaczenie pedagogiczne, przykładowe; że nasi poeci chłopscy, szukający literackich rozwiązań, służących klasie chłopskiej, nie mogą nie wyciągnąć wniosków z doświadczenia, jakie im następcza twórczość poety w walce klasowej, jakim jest Broniewski.

Jest bowiem zjawiskiem charakterystycznym, na które nie od dziś zwracali uwagę krytycy, interesujący się poezją ludową, że temat buntu chłopskiego, walki klasowej nieomal w owej poezji nie istnieje. Ktoś, kto chciałby ułożyć „Antologię poezji chłopskiej walki”, czy chciał wskazać utwory nadające się do recytacji publicznej, wypowiadające ten właśnie temat, — miałby wiele kłopotu, i — kto wie — czy nie musiałby zrezygnować, z braku materiału. Twórczość pisarzy chłopskich, to w przynajmniej części — liryka, i to liryka opisowa. Jest to rodzaj unikający napięć dramatycznych, silnego wyrazu, gwałtownego obrazu konfliktów; wieś, jaką widzimy poprzez tę twórczość, jest ową wsią „wieczną”, niezmienną, umieszczoną jakby poza historią. Nawet gdy bierzemy do ręki wiersz współczesnego poety chłopskiego, nie potrafimy powiedzieć, czy nie opisuje on wsi epoki Lenartowicza, — a może jeszcze dalszego, zamierzonego okresu, gdy wszak tak samo „błyszczała rosa na szablach trzciny”, „ujadanie psa budziło moje dzieciństwo” i „skrzyp żurawia podkreślał spokój nieba”. Gdy zjawia się w tej poezji nuta społeczna, brzmie ona załem, sentymentem bardziej, niż buntem, czy sprawą organizowania klasowej walki. Jest to opis nędzy, cierpienia, melancholii ludzi wiejskich, — podkreślający składniki nastrojowe, liryczne, rzadko wskazujące ideologię walki, nigdy zaś, jak się zdaje, nie występujący z hasłem.

Nie znaczy to przecież, by nie istniała poezja chłopska polityczna! Ma ona dwie charakterystyczne formy: obrona etyki życia chłopskiego, z podkreśleniem demokratycznych praw przysługujących chłopu — rodzaj datujący się bodaj od Brodzińskiego („Rycerz to niewielki, ojczyźnie ubliża, kto kmiotka poniża”) i „Kra-kowiaków i górali” Bogusławskiego, — albo występuje jako fraszka, gadka, epigramat zwrócony przeciw panu. Wiele takich anonimowych (ze względu na cenzurę) utworów opublikował „Zielony Sztandar” w okresie sanacyjnym; na łamach „Wsi” drukowane były fragmenty „Poematu Nowosieleckiego” J. Ozgi-Michalskiego, podejmującego ten właśnie ton politycznej satyry.

Jednak i tego rodzaju nie można uważać za poezję walki klasowej, przenika go bowiem duch obrony, nie ataku. Góruje w tej twórczości ton usprawiedliwienia, sentymentalnego wezwania, by szanować „człowieka” w chłopie; satyra polityczna zaś ma znaczenie doraźne, oparta jest na dowcipie, nie daje dostatecznie głębokiego uzasadnienia. Jest zresztą ta poezja polityczna tak wcale reprezentowana, że wobec zalewających nas fal liryki chłopskiej musi uchodzić za zjawisko drugorzędne.

Gdy wreszcie podejmują poeci chłopscy temat buntu (Kubisz: „Rebelija goroli w Mostach”. Nedza-Kubiniec: „Janosik”. Skoneczny: „Kostka Napierski”. „Jakub Szela”), wtedy z reguły oddalają się od rzeczywistości współczesnej, opisując zdarzenia odległe w czasie, nawiązując do historycznej tradycji walk chłopskich, i przez to znowu stępując ostrze współczesnego impetu klasowego. Gdyby więc wypadło zrobić dokładny bilans, nie wiadomo czy doliczylibyśmy się pięciu utwo-

row, spełniających postulat służby w walce; mamy wszak piękny przykład — hymn Stronnictwa Ludowego:

„Armata pod Stoczkiem zdobywała / wiara  
Rękami czarnymi od pluga,  
Panowie w stolicy kurzyli cygara...

O cześć wam, panowie magnaci  
Za naszą niewolę, kajdany!”

i może parę utworów współczesnych, np. drukowany w Nrze 18 (25) „Wsi” wiersz o walce chłopów w Reformie Rolnej Antoniego Olchy: „Moje pole”.

### POEZJA WALKI U ROBOTNIKÓW I U CHŁOPÓW

Nic więc dziwnego, że chłopski działacz, czy krytyk z zazdrością myśli o wspaniałym rozkwicie rewolucyjnej poezji proletariackiej, zestawiając ją z ubogimi w tym zakresie osiągnięciami poetów ludowych. Dziesiątki bojowych pieśni, poezja robotników walczących i zwyciężających, gryząca satyra socjalistyczna, ma u nas kartę w dziejach literatury, począwszy od okresu gdy Niemojewski pisał swe pierwsze społeczne utwory, kończąc na wybuchowym szyderstwie Tuwima, lirycy rewolucyjnej Szymańskiego, wreszcie na twórczości Władysława Broniewskiego. Jak zasadnicze znaczenie ma dla klasy walczącej i podnoszącej się jej własna twórczość poetycka, nie trzeba objaśniać. Poezja nie tylko zagrzewa do walki, przez budzenie emocji, nie tylko umacnia w nas poczucie słuszności sprawy, nie tylko upewnia na obranej drodze, — ale stwarza nam tradycję, czynnik niezwykle ważności, bo podtrzymujący pewność siebie. Historia walki klasowej jest uboga w fakty, bo krótkotrwała, bo hamowana odwiecznym terrorem, otoczona milczeniem i potępieniem panujących wrogów. Ten krąg krępujący ruch wyzwoleniczy przerywany zostaje — głosem poety. Dlatego historia klasy robotniczej, zaraz na drugim miejscu po nazwiskach swoich działaczy wymienia — swoich pisarzy.

Wartość rewolucyjnej tradycji poetyckiej jako czynnika uświadomienia rozumiana była wszędzie, gdzie chłopci organizowali się do walki. Dlatego „Wiciarze” poszukiwali poezji, która w braku samorodnej twórczości rewolucyjnej mogłaby ją zastąpić; stąd niespodziewana kariera, jaką zrobił twórca Jasińskiego „Słowo o Jakubie Szeli”, rzecz niezbyt szczęśliwa jako poemat, a tym bardziej jako poemat ludowy. Stąd inscenizacje „Kordiana i chama” Kruczkowskiego w teatrach ludowych, stąd wreszcie... przeszczeranie Broniewskiego na teren ludowy, — właśnie Broniewskiego, którego „Elegia o Ludwiku Waryńskim” weszła do programu świetlic i kół wiciowych.

### DLACZEGO NIE MA CHŁOPSKIEJ POEZJI BUNTU?

Czyżby więc zagadnienie walki klasowej nie interesowało poetów chłopskich, — czyby to nie dowodziło, że problem ten nie jest najważniejszy, że wyobraźni naszych twórców się nie nawija, i dlatego bywa pomijany? Przecież gdy przyjrzymy się bliżej naszym poetom-lirykom, tym właśnie, którzy z upodobaniem wracają do wspomnień dzieciństwa i wieś malują w barwach omal sielankowych, — zauważymy, że są to ludzie, którzy właśnie dzięki swemu radykalizmowi zdolali zdobyć wykształcenie i środki literackie, umożliwiające im zajęcie miejsca w piśmiennictwie ogólnonarodowym. Tak było z „autentystami”, zgrupowanymi w czernikowskiej „Okolicy poetów”, tak z pisarzami grupy „Wieś i jej pieśń”, którzy tępieni za radykalny program społeczny i uważani za „komunistów”, przeciwliwają część swej twórczości obrócili na produkcję liryczną, tak było z poetami „Ugorów”. Każdy z tych pisarzy, o zdecydowanie bojowych poglądach, z trudem wspiął się po drabinie społecznej; gdy zdobył sobie wreszcie pozycję i wykształcenie tworzył poezję o zakresie dalekim od walki, którą sam przeszedł.

### PRZYCZYNY UCIECZKI OD POEZJI WALKI

Przyczyny tego są liczne i złożone; spróbujemy je określić.

Przede wszystkim trzeba stwierdzić, że klasowa poezja proletariacka powstała w zupełnie innej atmosferze społecznej. Robotnicy żyją w masie, kontaktują się ze sobą licznymi grupami; stąd potrzeba wiecowego słowa, hasła, okrzyku. Działanie rewolucyjne w tej grupie dokonuje się spontanicznymi, masowymi czynami, wybuchami zbiorowego gwałtu. W tej atmosferze, gdzie znaczną wagę ma słowo rzucone w tłum z trybuny, istniała naturalna skłonność do tworzenia doraźnej, patetycznej poezji o hasłowym wydźwięku.

Świadomość klasowa chłopska narasta inaczej. Grupa nie jest wielka, wróg nie jest wyraźny, człowiek czuje się bardziej samotny. Tutaj informacja rozchodzi się w atmosferze powolności, spokoju, przez kontakt dwóch sąsiadów, przez rozmowę; nie wyłamuje się natychmiast w społecznych odruchach, a raczej narasta z wolna i z wysiłkiem. Ta atmosfera sprzyja powstawaniu poezji rozważającej, nie nawołującej.

W tych warunkach zupełnie inne będzie nastawienie i nasilenie rewolucyjności. Nie zawiera ona elementów anarchicznych, walki, zemsty, okrzyku, zwycięstwa. Wzbyta jest doraźnych, teatralnych odruchów, które przecież na terenie miasta odgrywają tak ważną rolę. Rewolucyjność ludowa nastawiona jest pozytywnie, na podnoszenie się; dlatego tam, gdzie w środowiskach miejskich występuje silny ton buntu, tam na wsi mówi się o samokształceniu; gdy w TUR-ze przed wojną recytowano wiersze „antypafstwowo”, wtedy w Uniwersytetach Ludowych mówiono o zdobywaniu wiedzy, — i to właśnie miało służyć rozsadzeniu wrogięgo porządku. Młody chłop, osamotniony na tle krajobrazu wiejskiego, odłączony od wielkich centrów kultury, odczuwał swoją bezsilność; środkiem walki było dla niego pomnożenie własnych sił, uzbrojenie własnej osoby, — stąd ten wysiłek, by zdobyć „siłę charakteru”, stąd owe kształcenie ducha i moralności, które tak irytuje przeciwników Uniw. Ludowych, zarzucających im wsteczne zapatrywanie w siebie i brak impetu społecznego. Zarzuty takie, płynące z nieporozumienia, nie doceniają rewolucyjnej roli owego wysiłku samokształceniowego; jest to przecież rozmach klasowy, tylko w innych formach, — bo społeczeństwo wiejskie ogarnięte jest przeciwnym wysiłkiem stabilizacyjnym, ożywione jest tendencją mieszczanią, chęcią dorównania, dogonienia, podniesienia się. Stąd wiersz, który krytykom miejskim wydać się musi obojętny, jest rewolucyjny już przez sam fakt, że jego autor przebył drogę od niewykształconego „chama” do twórcy. A jest to droga niemała, — i nic dziwnego, że przy jej końcu brak już czasem oddechu. Ten sens społeczny wiersza o pozornej treści lirycznej trzeba umieć odczytać; znaczy on tyle co: I ja potrafię tak jak wy, którzy rządzą i uczycie się od pokoleń.

Niemałą rolę odgrywają wreszcie osobiste czynniki psychiczne, opory i kompleksy których wyzbyty jest poeta proletariacki. Pisarz robotniczy, wyszły ze swojego środowiska, zostaje stale na jego tle; poeta ludowy, w pogoni za dalszymi środkami rozwoju, opuszcza swoją grupę i traci z nią kontakt. Tutaj niejednokrotnie zbraknie mu siły charakteru; ogarnięty małodusznością, dostosowuje swój talent do wymagań nowego środowiska. Nie ma on zresztą żadnych wzorów postępowania; gdzie się byli owi poeci chłopscy, łączący europejskie wykształcenie z przywiązaniem do swojej klasy, której stali się piewcami i którą zagrzewali do walki? Otaczają go inne wzory, często mu wrogie,

życia kawiarnianego, mieszczańskiego, snobistycznego; sam obciążony jest uczuciem niższości, lekliwością. Jeszcze inny opór: niechęć, by mówić o tym, co się z trudem zdobyło; bo walka chłopca ma większy urok dla ludzi z poza klasy chłopskiej, niż dla chłopów samych, podobnie jak życie Cyganów wydaje się malownicze tym tylko, którzy Cyganami nie są. Owym wyodrębnionym z klasy chłopskiej pisarz radby może zapomnieć o walce, radby zacząć „nowe życie”; nie zawsze starczy mu siły ideologicznej, by ton walki wytrzymać i rzucić w społeczeństwo.

### BRAK POEZJI WALKI — REZULTATEM OPÓŹNIENIA KLASOWEGO

Fakt, że temat buntu pomijany był przez chłopskich poetów, że bardziej interesowało ich wypowiedzianie wspomnień i serdecznych uczuć osobistych, że czytelnik wiejski raczej poszukiwał elementu sentymentalnego, — że, jednym słowem, literatura działała na jego skłonność do łzawienia, nie do zaciskania pięści, — fakt ten mógłby doprowadzić do najfałszywszego wniosku, że nastroje buntu obce są społeczności wiejskiej, skoro tak rzadko bywają wyrażane przez najdoskonalszych, wykształconych jej przedstawicieli — ludowych poetów. Ta osobliwa miękkość staje się tym wyraźniejsza w zestawieniu z kontrastem dramatycznej poezji społecznej, służącej walczącemu proletariatu. Stąd już niedaleko do następnego wniosku: że problem walki klasowej przyszedł z zewnątrz, nie wynikał z istotnych potrzeb chłopskich, jest narzucony, tym bardziej, że inne wypowiedzi pamiętnikarzy-chłopów także są pozbawione rewolucyjnego rozmachu, także nacechowane ową „chęcią mieszczanią”, też nie nawołują do buntu, a do wytrwania, cierpliwości; z dna nędzy nie podnoszą głosu gniewu, a raczej wezwanie do uczonych, do przywódców ludzkości, by zło naprawili i świat uratowali. Jakże wiele takich dokumentów dostarczają nam „Pamiętniki chłopów”, wydane przed wojną przez Instytut Społeczny!

Oczywiście stwierdzenie takie wchodzi już na teren polityki i łatwo będzie wykorzystane przez tych, którzy emancypacji chłopskiej nie sprzyjają. Bo „chłop już ma taką naturę, chłop jest dobronny, pod wiejskim niebem nie powstaje nienawiść... on ma dobre skłonności, itd. itd.”.

Staraliśmy się już wyżej udowodnić, jak fałszywy jest taki osąd, płynący z niezrozumienia warunków podnoszenia się chłopskiego. Nie rozstrzyga tu bowiem jakaś odrębność natury chłopskiej, a jedynie sposób życia, które wciąż jeszcze obraca się w ramach nie-współczesnych. Rozstrzygają zewnętrzne różnice bytowania wiejskiego i miejskiego, właśnie owo opuszczenie „niebo” wiejskie, owa edukacja samotna, zaczynająca się od pasienia krów w wilgotne ranki (jak często wraca ten motyw w poezji chłopów!), owo stłumienie, odłączenie społeczne, zmuszające młodego chłopca do liczenia na siebie tylko, nie ukazujące mu żadnych wzorów postępowania, skłaniające go do patrzenia w siebie, i rozwijanie własnego charakteru, rozwijanie po to właśnie, by móc się podnieść, opuścić opłotek, włączyć się w społeczeństwo. To, czego mieszkaniowiec miasta uczy się od dziecka niemal bezwiednie, — żyć w tłumie, łączyć swe reakcje z nim, postępować spontanicznie na miejscu wyznaczonym przez ramę społeczną, — różnicować swych wrogów klasowych i umieć w nich godzić, — tę świadomość chłop zdobyć sobie musi pracą wyobraźni, która u niego, wskutek nie pobudzających do odruchów i spontanicznych gestów warunków życia, musi być powolna. I oto wniosek ostateczny: poezja chłopska, wyrażająca parcie społeczne i chęć podnoszenia się, mimo liryczno-opisowego charakteru, zawiera w swej genezie ukryty, potencjalny pierwiastek rewolucyjny.

(Dokończenie na str. 3-iej)



WŁADYSŁAW BRONIEWSKI



# W I E R S Z E

## Co mi tam troski<sup>1)</sup>

Byleby w garści karabin, taki, co w boju nie chybi,  
co mi tam śniegi Syberii, co mi tam piaski Libii!

Na nic mi wszelkie nagrody, na nic mi wieńce sławy,  
potrzebne mi mocne buty, żeby w nich pójść do Warszawy.

Chcę, żeby głośno dudnił po świętym warszawskim bruku  
obcas latany w Narwiku, gwóźdź wy szczerbiony w Tobruku.

Wiele się ładów zdeptało, wiele się krajów obeszło,  
a ziemia wciąż była polska pod każdą żołnierską podszewką.

Co mi tam bogactw szukać, ja nie mam nic prócz pieśni,  
siedem niemieckich granatów mój dom rozwalilo we wrzesniu.

Był koło domu ogródek, w nim trochę warzyw i kwiatów...  
Ja chcę wygrzebać z tej ziemi siedem niemieckich granatów!

Chcę ucałować tę ziemię, którą ukochał dzieckiem,  
a jeśli paść — to gdzieś w Kraju, na piachu, na mazowieckim.

Co mi tam troski, kolego! Idziemy przez kontynenty,  
lecą nasze eskadry, płyną nasze okręty.

My pokażemy światu, że Polski je steśmy warci,  
byleby but był mocny, byle karabin był w garści.

## Elegia na śmierć Waryńskiego<sup>2)</sup>

Jeżeli nie lekasz się pieśni  
słumionej, złowrogiej i głuchej,  
gdy serce masz meża i jeśli  
pieśń kochasz swobodną — posłuchaj.

Szeroka, szeroka jest ziemia,  
gdy myślą ogarnąć ją lotną,  
szeroko po ziemi więzienia,  
głęboka w więzieniu samotność.

Już działa przeżarte skorobutem  
już nogi spuchnięte i martwe,  
już koniec, już płuca wypłute —  
lecz palą się oczy otwarte.

Poranek marcowy. Jak cicho.  
Jak dziwna się jasność otwiera —  
i tylko tak ciężko oddychać,  
i tylko tak trudno umierać.

Posepny juk mur Schlüsselburga,  
głęboki jak dno owej ciszy,  
zza krat, z więziennego podwórka  
dobiega go śpiew towarzyszy.

I słucha Waryński, lecz nie wie,  
że cienie się w celi zbierają,  
powtarza jak niegdyś w Genewie:  
— Kochani... ja muszę do kraju...

Raz jeszcze się dźwignął na boku:  
— Ja muszę... tam na mnie czekają... —  
i upadł w ostatnim krwotoku,  
i skonał. I wrócił do kraju.

## No pasaran<sup>3)</sup>

Umierający republikanie,  
brocząc po bruku krwią swoich ran,  
w krwi umaczanym palcem po ścianie  
wypisywali: „No pasaran!”

Ogniem, żelazem napis ten ryto  
pośród barykad z bruku i serc.  
Tak się rodziła wolność Madrytu,  
droższa niż życie, trwalsza niż śmierć.

Idą faszyci. Wiodą natarcie  
marakońskimi batalionami.  
Madryt czerwony walczy zażarcie.  
Pieśń podniesiona. Cześć i dynamit!

Znaczy to: godność, znaczy to: siła,  
ta która w grzy wali starzyzną.  
Pieśń zaciśnięta, aby zabiła.  
Pieśń podniesiona w boju z faszyzmem.

Rwą się pociski ponad Madrytem.  
Czerwień republik krwią się zabarwia.  
Cześć i dynamit! Chwała zabiłym!  
Broni walczącym! Arriba parias!...

O, przyjaciele! Dzieją się dzieje.  
Walka za nami. Walka przed nami.  
Ja chcę wam rzucić za Pireneje  
serce poety: cześć i dynamit!

1936

1) Wiersz napisany w czasie wojny na emigracji.

2) Ludwik Waryński, polski działacz socjalistyczny na przełomie 19-go i 20-go stulecia, uwięziony przez cara, umarł na suchoty w twierdzy szliserburskiej, po siedmiu latach niewoli.

3) „Cześć i dynamit” i „No pasaran” powstały w okresie wojny domowej między faszystami i republikanami w Hiszpanii. „No pasaran” (akcent na ostatniej sylabie), było to hasło demokratów, oznaczające: „Nie przejdą!”

## Zagłębie Dąbrowskie

Szybkie milczący i ciemny,  
ożyjesz i będziesz gadał.  
Po gniew — jak węgiel — kamienny,  
winda zlej pieśni  
— na dół!

Po gniew, moja pieśń najgłębiej  
w serce ziemi się wwierć!  
Węgiel dobywa Zagłębie,  
Zagłębie dobywa śmierć.

W dół i w górę otchłanie mroku,  
czarna troska, czarna robota,  
a na ziemi — szeroko, szeroko —  
widma domostw i gruda błota.

Zagłębie dobywa węgiel,  
tu nie ma innego prawa.  
Nocą nad widnokregiem  
luna błotnisto krwawa,

w tej lunie — skrzypią wyciągi,  
kraczą kranie żelazne,  
wywożą, wywożą pociągi  
glaz rozbity na miazgę.

Trzeba wapnem skropić wagony!  
Wapnem — czy ludzką krwią?!  
Parowozów dech przyspieszony,  
z remiz tabunem rwą.

Zagłębie goni za zyskiem,  
Zagłębie goni za chlebem,  
Smugi czerwonych iskier  
więją pod czarnym niebem.

Zagłębie dobywa węgiel,  
śle go na zachód i wschód  
i zamienia czarną potęgę  
na mór, na nędzę, na głód.

Powiedz, ziemio surowa,  
komu ty jesteś ojczyzną?  
Groźnie milczy Dąbrowa  
w noc głodu, kryzysu, faszyzmu.

Milczy błotnista ulica  
wiedzą górnicy, gdzie wróg.  
Na progu stoi policjant  
nad policjantem — Bóg.

Kryzys w ciężkim przemyśle,  
placę górników głodowe,  
ich twarze — nieprawomyślne,  
ich domy — antypaństwowe!

Węgiel dobywa Zagłębie,  
Zagłębie dobywa śmierć.  
Po gniew, moja pieśń, najgłębiej  
w serce ziemi się wwierć,

by te słowa zabrał niejedną,  
jak lonty dynamitowe,  
na Hutę Bankową, na Reden...  
— Zapalać! Gotowe? — Gotowe!

## Mannlicher

Nie głaskalo mnie życie po głowie,  
nie pijałem piastego mleka —  
no i dobrze, no i na zdrowie:  
tak wyrasta się na człowieka.

Byłem jeszcze zupełny szczeniak,  
kiedym wziął karabin do garści,  
żeby w śmierci, w grozie zniszczenia  
zaciąć usta i czoło zmarszczyć.

Nauczyło żołnierskiej krzepy  
życie trudne, twarde i liche.  
Byłem wtenczas jak szczeniak ślepy,  
na świat patrzył za mnie mannlicher.

Dowiedziałem się o czym milczy  
czarny Styr i zielony Stochód...  
Gryzą ziemię moi najmilsi,  
nawachali się dosyć prochu.

Cóż im wyznać w serdecznym słowie,  
gdy się młodość jak cementarz przyśni?...  
Nie głaskalo mnie życie po głowie,  
nie doszedłem tam dokąd szliśmy,

ale idę jak żołnierz dalej,  
inny, dalszy, trudniejszy cel mam,  
i jak stary mannlicher wali  
wiersz mój gniewny — broń szybkostrzelna.

## Łódź

Ciąży sercu troska i pieśń,  
troskę w sercu ukryj i nieś,  
pieśń jak kamień podnieś i rzuc.  
W dymach czarnych budzi się Łódź.

Wyją syreny, wyją co rano,  
grożą pięściami rude kominy,  
w ceglach ozerwonych dzień nasz jest rana,  
noc jest przelaną kroplą jodyny,  
ńfechaj ta kropla dzień nasz upalny  
czarnym — po brzegi — gniewem napelni —  
staną warsztaty, staną przedziałnie,  
śmierć się wysnuje z motków bawelny...

Troska iskrą w sercu się tli,  
wiele w sercu ognia i krwi —  
dymem czarnym musi się snuć  
pieśń, nim iskrą padnie na Łódź.

Z ognia i ze krwi robi się złoto,  
w kasach pękających skaczą papiery,  
warczą warsztaty prędką robotą,  
tuczą się Łodzią tłuste Scheiblery,  
Im — tylko radość z naszej niedoli,  
nam — na ulicach końskie kopyta —  
chmura gradowa ciągnie powoli,  
stanie w piorunach Rzeczpospolita.

Ciąży sercu wola i moc,  
rozpal iskry, cisnij ją w noc,  
powiew gniewny wciągnij do płuc  
jutro inna zbudzi się Łódź.

Iskra przyniesie wieść ze stolicy,  
staną warsztaty manufaktury,  
pójdzie Piotrkowską tłum — robotnicy,  
ptaki czerwone fruną do góry!  
Silnym i śmiałym, któż nam zagroździ  
drogę, co dzisiaj taka już bliska?  
Raduj się serce pieśnią dla Łodzi  
gniewną, wydartą z gardła konfiskat.

(Dokończenie ze str. 2-ej)

Rozumieją to pisarze chłopski, rozumieją, że charakter ich literatury jest rezultatem zacołania technicznych warunków życia. Dlatego łączą się w grupy, właśnie rewolucyjny postęp mające na celu, mimo że poza pochodzeniem nic, jak się zdaje, nie powinno łączyć tych „liryków opisowych”... A i poezja się zmieni, gdy poeta ludowy nie będzie musiał opuszczać swojego społeczeństwa, a zostanie w jego obrębie i jego służbie, — gdy cała klasa chłopska podniesie się materialnie, gdy nieoddzielona już od postępu techniki w reszcie świata, „zurbanizowana”, pozbędzie się lęklności, nie będzie marnować wysiłku na zdobycie banalnej „odporności charakterów”, gdy zaangażowana politycznie, biorąca udział w rządach, — jak wcześniej już doszła do tego klasa robotnicza, — nie będzie tracić sił na przewalczanie obsesji poniżenia, drugorzędności, tęsknoty do mieszczańskiego podnoszenia się. Czy powstanie wtedy chłopska poezja walki? chyba tak, bo jest to paradoks, ale prawdziwy: by stworzyć poezję walki, trzeba najpierw zwyciężyć.

Zygmunt Kalużyński.



STEFAN LICHANSKI

Dyskusja: „Wieś — miasto — regionalizm” (IV)

## Przechadzka po manowcach

Zagadnienie poruszone przez Piotra Ziarnika w artykule „Czy regionalizm?” („Wieś” nr 10/38) komplikuje się i pogłębia w toku dyskusji. Artykuły Mieczysława Józwiaka („Miasto”, „Wieś” nr 13/41) oraz Stefana Stodolnego („Starodawne formy samopomocy chłopskiej”) i Stanisława Merkisa („Nie dawna — a nowa samopomoc”, oba w nr 14/42 „Wsi”) wprowadziły do dyskusji tyle nowych elementów, że trzeba je zreasumować i wykazać możliwie najjaśniej ich wzajemne powiązania i zezębienia.

Okazuje się przede wszystkim, że sprawa regionalizmu nie jest zagadnieniem autonomicznym, ale łączy się bardzo ściśle z kwestią wzajemnego stosunku wsi i miasta oraz z kwestią skupienia się środowiska wiejskiego wokół takiej czy innej ideologii kulturalnej. Więcej — sprawa regionalizmu schodzi coraz wyraźniej na plan drugi wobec tych zagadnień, okazuje się, że regionalizm jest pochodną, w charakterze swym i zakresie działania przez te właśnie zagadnienia określana.

Nie podejmuję się tutaj wyczerpać w pełni problemów, jakie stoją przed nami. Celem moim jest zsumowanie wypowiedzi i poglądów, z jakimi spotkali się dotychczas czytelnicy „Wsi” i postawienie pewnych własnych propozycji, które chce traktować wyłącznie jako punkt wyjścia do dalszej dyskusji, może już bardziej skoncentrowanej na zagadnieniach dla nas najważniejszych.

### MIASTO NA CENZUROWANYM

W dyskusji „Wieś — miasto — regionalizm” odezwały się dwa głosy pokrewne sobie, jeśli chodzi o założenia światopoglądowe, aczkolwiek odnoszące się do spraw zupełnie odległych. Mam tu na myśli artykuł M. Józwiaka „Miasto” i S. Stodolnego „Starodawne formy samopomocy chłopskiej”. Z drugim z nich polemizował co prawda S. Merkis w artykule „Nie dawna — a nowa samopomoc”, ale dyskusję skierował na boczny tor, zajmując się nie tezami Stodolnego, ale propagandą nowoczesnej spółdzielczości.

Wymienione powyżej prace są o tyle interesujące, że bardzo silnie rozbrzmiewa w nich ton niechęci do miasta i mieszczańskiego stylu życia.

M. Józwiak i S. Stodolny zastanawiają się, co urbanizacja kraju przyniosła wsi i obaj dochodzą do wniosków bardzo pesymistycznych: miasto niweczy wieś, niszczy styl życia wytworzony przez cywilizację rolniczą, wykosławia osobowość ludzką, zmniejsza prężność populacyjną i siły vitalne narodu (to ostatnie oskarżenie wysuwa tylko p. Józwiak). Przyjrzyjmy się bliżej ich zarzutom przeciwko miastu i urbanizacji.

### PROKURATORZY MAJĄ GŁOS

Zacznijmy od Stodolnego. Stwierdza on, że wpływ miasta na wieś znalazł swój wyraz w niedoleźnym i śmiesznym snobizmie, jeśli chodzi o życie prywatne i towarzyskie, oraz w biurokratyzmie, jeżeli chodzi o życie organizacyjne. Są to fakty bezsporne i niedorzecznością byłoby im zaprzeczać. Należałoby natomiast poszukać wyjaśnień, dlaczego takie fakty mają miejsce. Stodolny nie przeprowadza takiej analizy, nie zastanawia się też, czy są to jedyne skutki kontaktu miasta ze wsią.

Stodolny, jak widzimy, interesuje się problemem „wieś — miasto” raczej ubocznie, główną jego troską jest czystość stylu życia wsi, ciągłość tradycji obyczajowych i towarzyskich. M. Józwiak ujmuje sprawę szerzej i bardziej zasadniczo.

### KOMUNIKAT

Ludowy Instytut Oświaty i Kultury postanowił przystąpić do opracowania zbiorowego wydania dzieł Jędrzeja Cierniaka. Zamierzony plan wydawnictwa ma obejmować nie tylko jego prace z zakresu kultury ludowej, ale ma również dać charakterystykę jego osobowości, odwołać się do wspomnień postaci, dać obraz człowieka, wychowawcy, działacza społecznego nauczyciela i pracownika oświatowego.

Instytut zwraca się tą drogą do wszystkich kolegów, przyjaciół, współpracowników, współwzięńców i uczniów Jędrzeja Cierniaka z prośbą i apelem o opracowanie wspomnień, któreby uwidoczniły cechy Jego osobowości.

Ponadto prosi Instytut o nadesłanie wszelkich materiałów a to: ciekawszych ze społecznego punktu widzenia listów, notatek bibliograficznych, uwag J. Cierniaka — dotyczących różnych dziedzin pracy społecznej, fotografii i wszystkich przeżytków, które do urzeczywistnienia zaprojektowanego wydawnictwa mogłyby być przydatne.

Wszystkie materiały należy przesyłać na adres: Prof. Stanisław Piłgón — Kraków, ul. Garbarska 7a.

### SPROSTOWANIE

Wyjaśniamy na życzenie autorki, że artykuł Zofii Solarzowej „Uniwersytet Ludowy w Bursle” drukowany w N-rze 12 (40) „Wsi” z 31 marca jest przemówieniem radiowym i nie był przeznaczony do druku, jakkolwiek drukowany był za zgodą autorki.

Józwiak — trzeba to podkreślić — nie atakuje cywilizacji technicznej, uważa on jednak, że jej normalny rozwój, bynajmniej nie wymaga istnienia wielkich ośrodków miejskich, gdyż może ona rozwijać się z powodzeniem bez nich, a miasta więcej krajo-wo przynoszą szkody niż pożytku.

Szkodliwość miast uzasadnia Józwiak następującymi argumentami: a) filologiczny: życie miejskie jest zasadniczo niezdrowe, b) społeczny: skupienie wielkich mas robotniczych w ośrodkach przemysłowych powoduje w okresach kryzysu ekonomicznego nędzę lub konieczność gospodarki wojennej, c) psychologiczny: warunki życia i pracy w mieście wytwarzają skłonność do hysterii i działania odruchowego — i wreszcie d) argument z arsenału filozofii kultury: mieszczanin ma skłonność do światopoglądów zdeterminowanych przez swoje otoczenie, a więc materialistycznych, skrajnie racjonalistycznych i układających się w zwarte, zamknięte systemy; chłop natomiast cechuje „ostrożność w sądach, dopuszczalność światopoglądu, w którym nie wszystko da się rozumowo powiązać i tolerancyjność”.

### PIERWSZA REPLIKA OBRONCY

Tak brzmi akt oskarżenia. Zastanówmy się, o ile jest on słuszny. Zaczne od zarzutów wysuniętych przez p. Stodolnego. Nie wątpię, że ma on rację, atakując snobizm i biurokrację, gdyż snobizm zawsze jest śmieszny a biurokracja zawsze szkodliwa.

Ale zastanówmy się nieco. Wzrost snobizmu, wzrost nagminny, obejmujący szerokie koła jakiegoś środowiska świadczy zawsze, że obowiązuje dotąd w danym środowisku styl życia przesyła się, zostaje milcząco uznany przez ulegające snobistycznym ciągom grupy za nieodpowiedni, może nawet wręcz przedawniony. Snobizm może więc znamionować niekoniecznie tylko rozkład istniejącego stylu życiowego ale i narastanie nowego. Trzeba by wysłuchiwać właściwe przy- czynny owego chłopskiego snobizmu i uświadomić snobom ich sytuację pograniczną — między dwoma odmiennymi stylami życiowymi. I niech wtedy wybierają: wóz czy przewóz. A dopiero tych, którzy nadal zechcą żyć i zachowywać się według modelu „ni pies ni wydra”, należy bić po łapach.

Jeżeli zaś w młodych organizacjach chłopskich zjawia się biurokratyzm, to jest to po trochu kompromitujące dla tych form życia organizacyjnego, które dotąd istniały na wsi, gdyż stanowi dowód, że nie przygotowały one chłopca należycie do pracy społecznej. Biurokratyzm taki zresztą nie może być utożsamiany z biurokratyzmem zawodowych urzędników, ten bowiem wynika z bezdusznej rutyny, tamten jest wynikiem nieudolności typowej dla nowicjuszy.

Wiele przemawia za tym, że mamy tu do czynienia z uboższymi objawami przebudowy stylu życia mas chłopskich. Taki okres fermentu i przebudowy zawsze niesie ze sobą rozmaite dziwactwa, niedorzeczności i błędy, ale świadczą one nie tylko o szkodliwości nowego stylu, ale raczej o tym, że jest on przyjmowany doraźnie i dorywczo, bez pełnego zrozumienia. Tyle o p. Stodolnym.

### DRUGA REPLIKA OBRONCY

Jeżeli chodzi o zarzuty p. Józwiaka, niepodobna odmówić im pewnej słuszności. Na temat złego wpływu życia w mieście na zdrowie pisano już dużo. Zarzut ten trafia jednak nie tylko w miasto, ale i w całą cywilizację techniczną, gdyż to ona ponosi odpowiedzialność za pracę w niewłaściwym czasie i nieodpowiednich warunkach.

Sprawa ta wiąże się bezpośrednio z kwestią przeludnienia miast, które zdaniem p. Józwiaka może być pośrednią przyczyną kryzysów ekonomicznych i wojen. Ten argument jest wyraźnie ciągnięty za włosy. Sam fakt istnienia wielkich skupisk robotniczych niczego jeszcze w tym zakresie nie przesądza, decyduje tu wadliwy system polityczno-gospodarczy, który działałby tak samo, gdyby każda fabryka znajdowała się w innej wiosce. Ten sam system ponosi w dużej mierze odpowiedzialność za to, że miasta są budowane wadliwie a praca zmienia się w karne roboty. System, którego ideałem było osiąganie przez kapitalistę maksymalnych zysków przy minimalnych wkładach, zepchnął człowieka pracy do roli jeszcze jednego fabrycznego automatu, jeszcze jednej maszyny.

Nie przypisuje bynajmniej przesadnego znaczenia zmianie ustroju, ale sądzę, że od takiej zmiany zależy bardzo wiele. Utrwalenie się systemu, który przywróciłby właściwe miejsce w świecie człowiekowi i uwzględnił należycie jego faktyczne potrzeby nie wymaga wcale likwidacji miast i zahamowania rozwoju cywilizacji technicznej. Oczywiście, że zarówno cywilizacja ta jak i życie wielkomiejskie mają swoje wady strukturalne, których usunąć w zupełności niepodobna, ale których znaczenie można poważnie w stosunku do stanu obecnego zmniejszyć. W ten sposób dałoby się również osłabić ów szkodliwy wpływ miasta na życie psychiczne człowieka, na który zwraca uwagę p. Józwiak.

Jak do tej pory zarzuty p. Józwiaka można traktować jako niepozbawione w dużym stopniu słuszności chociaż zwracane zwykle pod niewłaściwym adresem. Inny zupełnie

charakter ma jego czwarty argument anty-urbanistyczny i dlatego trzeba będzie zająć się nim osobno.

### DWA IDEALY KULTURY

Poprzednio p. Józwiak tylko krytykował miasto, a także (mimowolnie poniekąd) cywilizację techniczną. Teraz miastu i jego ideałowi kultury przeciwstawia autor ideał kultury opartej o typ życia psychicznego wytworzony przez warunki wiejskie i pracę na roli. Tu już zaczyna się dyskusja między dwoma stanowiskami inspirowanymi przez różne ideały kultury, ideały, które Józwiak uważa nie tylko za odmiennie, ale za wręcz przeciwstawne sobie.

Józwiak uważa, że mieszczanin może wyznaczać jedynie światopogląd, w którym „wszystko się ze sobą wiąże i zezębia”, u chłopca zaś widać „ostrożność w sądach, dopuszczalność światopoglądu, w którym nie wszystko rozumowo da się powiązać i tolerancyjność”. Gdyby te cechy wyznaczały istotnie wybór światopoglądu, to wśród mieszczan nie powinien być przyjęty się faszyzm, który jest bardzo dziwnym zlepkiem różnorodnych haseł i tendencji, a chłopci powinni by ustosunkować się niechętnie do katolicyzmu, który jest systemem zbudowanym bardzo zwarcie i konsekwentnie.

Niewątpliwie, że w umysłowości i uczuciowości chłopca i mieszczanina odnajdziemy pewne cechy zasadniczo odmiennie. Cechy te mają niewątpliwie wpływ na kształtowanie się światopoglądów w obu tych środowiskach. Tym nie mniej nieprawdopodobnie jest ustalenie czegoś co można by nazwać „światopoglądem chłopskim” i traktować jako całość przeciwstawną „światopoglądowi mieszczańskiemu”. A ku temu właśnie zmierza Józwiak uznając miasto za „fabrykę fałszywych światopoglądów i doktryn”.

Ani środowisko miejskie ani wiejskie nie jest jednolitym blokiem, są one zróżnicowane społecznie i zezębiają się wzajemnie przynależnością do tych samych wspólnot wyznaniowych, politycznych, społecznych, gospodarczych itp. Można więc mówić co najwyżej o specyficznych modyfikacjach ideologii i światopoglądów w tych dwu środowiskach.

Pamiętam z czasów gimnazjalnych dyskusje na temat czy pozytywizm jest zasadniczo światopoglądem „lepszym” niż romantyzm — czy też odwrotnie.

U Józwiaka sprawa przedstawia się o tyle gorzej, że nie mówi on nawet o żadnych konkretnych światopoglądach, a tylko o ich pewnych cechach. Gotów jestem w zupełności zgodzić się z p. Józwiakiem co do wartościowości cech wymienianych przez niego jako typowo chłopskie, ale pozwolę sobie zrobić dwa zastrzeżenia: 1) cechy te nie wyznaczają treści pojęciowej żadnego w ogóle światopoglądu, a tylko charakteryzują metodę myślenia, 2) mogą one być właściwe ludzłom wyznającym światopoglądy pochodzenia bynajmniej nie chłopskiego i nie mogą być uznane za zastrzeżoną prawnie własność jakiejś poszczególnej klasy społecznej.

Te poprawki były konieczne dla wykazania, że p. Józwiak operuje pojęciami chłopskości i mieszczański w sposób dość dowolny i wyraźnie stronniczo uznając wszystko, co mu się podoba, za chłopskie, a wszystko, co wydało mu się złe i antypatyczne, za mieszczańskie — i że propaguje on pewną filozofię kultury, której treścią bliżej nie określa, poprzestając na wyrażeniu życzenia, aby nie była ona materialistyczna, racjonalistyczna, zbudowana jednolicie i konsekwentnie, nie miała nic wspólnego z doktrynami społeczno-gospodarczymi a natomiast doceniała znaczenie „rzeczywistości biologicznej”. Z koncepcją tą, która dałaby się pogodzić może z poglądami Jana Jakóba Rousseau a może z panestetycznymi teoriami Ruskina, nie będę polemizował wprost. Jest ona bowiem ważna jako symptom a nie jako program.

### BEZDROŻA

Zdaniem Józwiaka (podobnie zresztą ma się sprawa ze Stodolnym) typ kultury i funkcjonalnie z nim związany styl życia mogą być przez nas wybierane zupełnie dowolnie. Józwiak przypuszcza, że można zlikwidować miasto nie naruszając przy tym normalnego funkcjonowania cywilizacji współczesnej i nie wprowadzając powikłań mogących w sposób niepożądany skomplikować jej dalszy rozwój. Dla Józwiaka cywilizacja techniczna — to po prostu maszyny i ich ułatwiająca życie człowiekowi działalność. Chociaż p. Józwiak występuje jako rzecznik wsi, ale kiedy myśli o jego metodzie rozumowania, przypomina mi się uwaga Tuwima o „strasznych mieszczanach”, że „patrzac widza wszystko oddzielnie: że dom... że Stasiek... że koł... że drzewo”.

Stwierdzono już dość dawno, że istnieje (zw. „psychologia broni”), tam, że jeżeli kto dłuższy czas ma do czynienia z bronią, to powstaje u niego impuls posługiwania się nią w celach niekoniecznie tylko obronnych czy rozrywkowych. Jednym słowem: dłuższy kontakt z jakimś narzędziem wprowadza nowy element do naszej psychiki. Czy p.

Józwiak przypuszcza, że radio, film, traktor, spółdzielnie i udogodnienia komunikacyjne nie zmieniają stylu życia ludności wiejskiej, nie wprowadzają w jej psychikę elementów nowych, sprzecznych z nałogami pojęciowymi i uczuciowymi utrwalałymi przez dawne formy życia wiejskiego i gospodarki rolnej? Czy konieczność powstania w środowisku wiejskim nowych fachów (technicy, pracownicy spółdzielczy i kulturalni, urzędnicy itp.) nie przeobrazi i nie zróżnicuje tego środowiska?

Zarówno Józwiak jak i Stodolny marzą o czymś równie nieprawdopodobnym jak perpetuum mobile czy kwadratowe koło: chcieliby żeby wieś przyjęła nowoczesną technikę nie rewidując swojego stylu życia, nie zmieniając dawnych schematów światopoglądowych. Są oni daleko mniej konsekwentni niż ludowi „myśliciele” spod znaku Niecki, którzy zburzyliby chętnie Widzewską Manufakturę, żeby na jej miejscu wnieść gontyne światowidła.

### SPRÓBUJMY SIĘ DOGADAĆ

Stodolny i Józwiak są reprezentantami tej grupy chłopskiej, która nie może się już zadowolić antykulturalnymi w gruncie rzeczy koncepcjami „rdzennej, rodzimej” kultury ludowej, ale nie może zdecydować się na przejście do postępowego obozu chłopskiego. Z dawną wsią wiąże ludzi tego typu raczej szacunek dla tradycji i umiłowania dawnego stylu życia niż względy bezpośrednio praktyczne, niż przynależność do tych grup chłopskich, które na zachowaniu dawnych form życia wiejskiego i produkcji rolnej budują swoje nadzieje odgrywania kierowniczej roli w życiu wsi, a w związku z odbywającą się obecnie przebudową polityczno-społeczną państwa również opóźniania steru życia politycznego naszego kraju. Istnieją liczne grupy chłopskie, które nie mają żadnego interesu w popieraniu tych tendencji a pragną natomiast szczerze i głęboko postępu wsi. Zycząc jednak pod silnym naciskiem tradycji dawnej kultury ludowej nie potrafią się wyżyć pewnych uprzedzeń i nałogów, co utrudnia im zorientowanie się w obecnej sytuacji chłopstwa polskiego. Przyjmują bezkrytycznie wiarę w naturalny antagonizm miasta i wsi, przyjmują bez zastrzeżeń przekonanie, że dawne formy kultury ludowej i życia wiejskiego sprzyjają najbardziej rozwojowi ludzkiej osobowości, sam zaś ten ideał pojmują jako jakiś wzór absolutny, niezależny w zupełności od czasu i warunków egzystencji. Stał w grupach tych napotykać na wyższy stopień dezorientacji ideologicznej niż u chłopskich konserwatywów narzeczonych o Polsce „piastowskiej” (niekoniecznie nazwę tę trzeba wywodzić od króla Piasta).

Istnieje w tych grupach jednak ferment myślowy, którego nie wolno lekceważyć, w którym krystalizuje się niejedna zdrowa i płodna myśl. Rozumiem to i dlatego Józwiak i Stodolny są mi daleko bliżsi niż zdaje się to wynikać z niniejszego artykułu. Sądzę jednak, że droga do porozumienia z nimi nie jest zamknięta i dlatego mam zamiar jeszcze raz zabrać głos w dyskusji, by zreferować swój pogląd na sprawy wzajemnego stosunku wsi i miasta oraz na kwestię racjonalizmu.

\*) Patrz „Wieś” nr. nr.: 10/32, 13/41, 14/42.

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK  
URODZONY  
W ŻDZBLE

poezje

Kraków 1946 Cena 100 zł.

PAWEŁ KUBISZ

PRZEDNOWEK

poezje

Łódź 1946 Cena 90 zł

Nakładem Oddziału Wiejskiego  
Związku Zawodowego Literatów  
Polskich



ADOLF KOTARBA

W 25 rocznicę

# Powstanie Górnosląskie

Kiedy w maju 1921 r. wybuchło polskie powstanie na Górnym Śląsku, zacząłem się natychmiast starać legalnie o możliwość wzięcia w niem czynnego udziału. Dowiedziałem się, że granica Górnego Śląska jest ściśle obstawiona i mogą tam udać się tylko ci, którzy są do powstania skierowani przez Związek Strzelecki, zgłosiłem się do komendy tegoż w Krakowie, przy ulicy Florjańskiej, lecz kazali się tam zgłosić dnia 23 maja.

**23.V.1921 r.** — Kiedy w dniu 23 maja zgłosiłem się ponownie w komendzie Związku Strzeleckiego i oświadczyłem mi, że z tego nic nie będzie, bym mógł marzyć o pojechaniu na Śląsk, miałem już zamiar tego samego dnia wyjechać w kierunku Oświęcimia i starać się na własną rękę przedostać przez granicę. Wychodząc z lokalu Związku Strzeleckiego, spotkałem na schodach znajomego oficera z 5 p. p. Leg., por. Pfefera, który, dowiedziawszy się, iż nie mogę się wystarać o wystanie mnie na Śląsk, wziął mnie z sobą z powrotem do lokalu Związku i tam zdecydował moje przyjęcie. Mimo to wyjazd mój został odłożony aż do zawezwania mnie w tej sprawie.

**6.VI.1921 r.** Z domu wyjechałem w tajemnicy przed rodzicami, którym powiedziałem, iż wyjeżdżam do Nowego Targu.

**7.VI.1921 r.** — Od rana wydają nam w koszarach przepustki, za którymi mamy się przedostać na Śląsk. Wielu z ochotników nie może ich uzyskać ze względu na swą złą prezentację. Między innymi jakiś boso ochotnik, z wyglądu „batjar” lwowski, aż płacze, że nie może dostać się do powstania. Opowiada, że we Lwowie walczył z Ukraińcami od samego początku i dowódcy byli z niego zawsze zadowoleni, tymczasem teraz tu nie chce się skorzystać z jego chęci. — Nie mogę mu nic pomóc, choć uważam go za dużo pewniejszego od niejednego z tych, których przywożem z Krakowa.

**8.VI.1921 r.** O godz. 10-tej stajemy w Bielszowicach. Otrzymujemy przydział do pociągu pancernego „Słazak”, jako dowódca plutonu szturmowego.

**9.VI.1921 r.** — Zapoznaję się z ludźmi mojego plutonu i całego pociągu pancernego. Na pluton, składający się z 34 powstańców, posiadają zaledwie 16 karabinów, z czego 9 włoskich i 7 niemieckich. Reszta powstańców jest nieuzbrojona. Amunicja do tych karabinów znajduje się w jednej skrzynce pomieszana i brudna; zarządzam więc czyszczenie jej i oddzielenie. Wystarałem się następnie o drugą skrzynkę i przydzieliłem karabiny niemieckie Słazakom, włoskie zaś krakusom, którzy powinni je znać z wojny światowej. Nie bardzo się oni garną do karabinów; nie chcą ich czyścić, zwłaszcza, że są ogromnie zabrudzone, i prosto nie chcą się nimi obarczać. Jednego z powstańców, który odmówił przyjęcia karabinu, wypędziłem precz z wozu, by się nie szwendał między nami, meldując o tem dowódcy pociągu, por. Albertowi z Sosnowca. Gdy mu dowódca zagroził wydaleniem z oddziału, przybył do mnie ze skruchą, przyjął najbrudniejszy karabin i oczyścił go solidnie. Karność ogromnie tu szwankuje. Z wyjątkiem Słazaków, mam kilku powstańców, pochodzących z Częstochowy i Łodzi, oraz jednego powstańca z Krakowa—Dębniak. Ten właśnie ostatni jest ideowcem, który nie przybył tutaj na „odkuwanie się”, lecz dla samej walki z wrogiem. Posiada on w Dębniakach kilka morgów ziemi z domem i jest bardzo poważnym człowiekiem. Słazacy, Częstochowiaci i Łodzianie podobają mi się też, ale reszta, to hołota, którą należałoby przepędzić „za wodą”, jak mawiają Słazacy, to znaczy za granicę, którą stanowi rz. Przemsza.

Wszystkich żołnierzy w obsłudze pociągu jest 53 prócz 3 oficerów. Większość stanowią Słazacy (dwudziestu kilku); z Krakowa jest około piętnastu, jeden z Poznańskiego i reszta z Kongresówki. Najwięcej podobają mi się Słazacy; pochodzą oni z Mikutowa i Mysłowic. Są to górnicy i robotnicy, oraz kolejarze, ludzie poważni i wcale inteligentni. Dadzą się lubić i nawzajem, gdyż są towarzyscy; nie lubią jednak ludzi podejrzanej kondyty i wyrażających się po lobuzersku. Uważam ich za bardzo dobry materiał żołnierski, gdyż są zaciekli i nienawidzą „chacharów”, jak nazywają Niemców. Natomiast Krakusów nie mogę strawić; tak się oni prawie wszyscy źle przedstawiają pod względem moralnym, co mi tym więcej dotyka dlatego, że też pochodzę od Krakowa, mieszkam w tym mieście, co i oni. — U Słazaków, gdy spostrzegłem zachowanie się tych Krakusów i usłyszeli ich wyrznięcia się, widniało z początku ogromne zdziwienie, a dzisiaj zrodziła się poprostu nienawiść.

A przecież ze Słazakami można żyć, jak z braćmi, na co mam dowody pozostałych kolegów, pochodzących z innych dzielnic. Słazacy nazywają Krakusów „Antkami” i słusznie, gdyż na to zasługują.

Bielszowice są miasteczkiem o kilkunastu tysiącach mieszkańców. Znajduje się tu także kilka kopalń węgla; obok jednej z nich stoi nasz pociąg. Sklepiarkami są tu przeważnie Niemcy, nie mówiący prawie po polsku; ludność robotnicza i w okolicy miasta wyłącznie polska.

Wieczorem zarządzane zostało pogotowie do odjazdu, który nastąpił przed północą.

**11.VI.1921 r.** — O godz. 17-ej obydwa nasze pociągi jadą na wypad pod Kędzierzyn nad Odrę, gdzie trwają ciężkie walki. Między Kędzierzynom a Łabętami mieli Niemcy zagarnąć nasz pociąg sanitarny po uszkodzeniu przedtem toru. Jadąc, spotykamy kilka naszych sanitariuszek, idących pieszo wzdłuż toru. Są bardzo zmęczone i na nasze pytania, jak im się powodziło u Niemców, nie chcą nawet odpowiadać. Przejechawszy przez Fotischau i Rudziniec, zostaliśmy nagle zatrzymani przez grupę oficerów angielskich i francuskich. Jakiś wyższy oficer francuski nie pozwolił nam jechać dalej, choć zachodziła wielka potrzeba jechać na pomoc walczącym kolegom.

Wracamy więc z powrotem do Łabęt; w drodze, zaraz po ujechaniu kilku km od miejsca zatrzymania nas, zostaliśmy nagle ostrzelani przez placówkę niemiecką z karabinów ręcznych; stajemy więc na torze, a ja z plutonem udaję się na patrol do 4-ch km od toru. Kiedy już rozwinąłem pluton, zostaliśmy ostrzelani jeszcze raz z kilku karabinów przez t. zw. „Grenzschutz”, którzy na nasz widok zwiali do lasu. Goniliśmy za nimi bardzo energicznie, lecz przepadli bez śladu.

Wczoraj był na wypadzie nasz sąsiad „Pieron”, na którego Niemcy wypuścili tak zwaną „dziką maszynę”, t. j. lokomotywę bez maszynisty i palacza. „Pieron” uciekał z szybkością 70—80 km na godzinę przed pędzącą na niego maszyną. Kiedy ta dopiero straciła na impiecie, została złowiona. Jeden z powstańców-kolejarzy wskoczył na nią i zatrzymał.

**13.VI.1921 r.** — Otrzymaliśmy dzisiaj żołd za dwie dekady. Jako sierżant otrzymałem 320 marek niemieckich. Po południu odwiedzam Łabęty. We wsi tej mieszka 4 tysiące ludzi, w czem zaledwie 5 rodzin czysto niemieckich. Gdyby z każdej rodziny niemieckiej padło przy urządzaniu plebiscytu po trzy głosy za Niemcami, to powinni ich mieć 15-cie; tymczasem Niemcy uzyskali w Łabętach 167 głosów. Tak więc 150 Polaków i Polek głosowało na wroga nam listę. Bardzo oni mało są uświadomieni narodowo. Nauczyci się śnać od Niemców przysłowia: „Gdzie chleb, tam Ojczyzna” i uważają Niemców za swych prawowitych opiekunów; dla takich wszystko jedno, czy rządzi nimi Niemcy, czy też kto inny.

W Łabętach spotkałem kilka oddziałów piechoty powstańczej, maszerujących na zmianę placówek pod Gliwicami, które są niemi otoczone dookoła. W Gliwicach jest podobno około 15 tysięcy uzbrojonych Niemców i dlatego nie kusimy się o zdobycie tego miasta. Uważam jednak osobliście, że powinniśmy je zająć koniecznie, a po niem Katowice i Bytom, gdzie też Niemcy podobno się dotąd trzymają. Gdybyśmy te trzy ostatnie miasta z rąk Niemców odebrali, pozbyliby się oni tej nadziei, że fortuna im się odmieni i że mogą jeszcze odzyskać utracone terytoria i kopalnie oraz fabryki.

W Gliwicach stoi jedna kompania francuska. Do miasta dostać się wogóle nie jest trudno, lecz tylko dla mieszkańców przedmieść i okolicznych wiosek. Gdyby zaś tam przytrzymał nas, danoby mu napewno lupnia, a poznać nas jest bardzo łatwo po innej wymowie i po braku znajomości języka niemieckiego. — Jak opowiada ci, których się wmszcza do miasta — może i celowo — Niemcy nie chodzą po mieście z karabinami, jak my po całym Śląsku, lecz są uzbrojeni tylko w rewolwery i w granaty ręczne. Ubrani są tak samo jak my, w ubrania cywilne.

Dowódcami kompanij i baonów są u nas przeważnie górnicy i inni wykwalifikowani żołnierze-robotnicy, mając jednak do pomocy przy sobie za fachowych doradców oficerów w cywilnych ubraniach. Ci ostatni noszą na rękawach marynarek niebieskie opaski, jako oznaki stopnia oficerskiego. Tytułów żadnych stopni nie używa się; podwładni mówią do dowódcy po imieniu, a czasem tylko tytułują go „druhem”.

W kantynach powstańczych pracują wszędzie kobiety, starsze Słazaczki, chodzące przeważnie boso i obsługujące nas z godno-

ścią i powagą. Między niemi nie znajdziemy lekarstwo ani jednej pani ubranej z miejską i pochodzącej ze sfer inteligencji, jakie pamiętam z wojny bolszewickiej; tamte raczej reprezentowały kobietę polską, opiekującą się żołnierzem, aniżeli pracowały dla niego. — Wówczas „lalusie” i inni „grzeczni” i dobrze ułożeni żołnierze mieli specjalne względy u tych pań, podczas gdy żołnierz zakurzony i zabrudzony długo się musiał naczekać i naprosić na obsłużenie go. Nieraz uciekał, nie mogąc się doprosić szklanki herbaty, bo pani zajęta była rozmową z „lalusiem”. Podobne wypadki widziałem nieraz w czasie wojny. — Teraz niema tu tego wszystkiego na istic ludowym i demokratycznym Śląsku. Tu ceni się w pierwszym rzędzie nie ułożonych, lecz szorstkich, ale szczerych z natury robotników i chłopów. — Podoba mi się to bardzo i nie mogę nic na to powiedzieć, prócz wyrazów pochwały pracowitości, rzetelności i uczynności kobiety śląskiej.

**19.VI.1921 r.** — O godz. 1-ej w nocy obudzili nas oficerowie nasi.

Na zbiórce wezwano nas do wystąpienia na ochotnika do pójścia na wypad.

Na ów apel wystąpiło nas 10-ciu; pojechalśmy więc w 14-stkę, bo oprócz nas i trzech oficerów wybrała się też sanitariuszka z poc. san., niejaka panna Miła z Sosnowca. Towarzyszyła ona oficerom w zabawie w Łabętach i teraz wybrała się z nimi, jakby do kina.

Podjechalśmy około 4-ch km maszyną z jednym wozem; kiedy ta zatrzymała się na torze, wysiedliśmy z wagonu i patrol nasz ruszył w kierunku Gliwic. Wkrótce podeszliśmy pod folwarczek, w którym była placówka niemiecka. Spłoszeni Niemcy zwiali co sił do miasta, a my podnieceni tem rozpoczęliśmy pościg aż na ulicę miasta Gliwic. Na alarm niemieckiej placówki wyskoczyła na nas grupa Niemców, licząca co najmniej 200 ludzi, uzbrojonych przeważnie w rewolwery i częściowo w karabiny, i rozpoczęła do nas szalony ogień z odległości 50—70 metrów. Zaraz na początku walki padł zabity jeden z naszych oficerów, ppor. Stanisław W. ze Lwowa. Otrzymał on postrzał w serce. Rozpoczęliśmy i my strzeląc z karabinów ręcznych i z jednego maszynowego, zabranego niestety bez podstawy, a więc niebardzo użytecznego. Osadziliśmy Niemców i nie biegli już na nas, jak na początku, kiedy nas zobaczyli; w trakcie tej walki został znów ranny dowódca pociągu, por. Albert, który otrzymał postrzał w tyłek i wycofał się z jednym powstańcem, nakazując nam również wycofanie się w momencie, kiedy on dojdzie do pociągu. Gdy cofnęliśmy się do toru, gdzie stała nasza lokomotywa z wozem, policzyliśmy się i okazało się wtedy, że niema między nami panny Miły, której nikt z nas nie widział od chwili zabicia ppor. Stanisława. Być może, że zobaczywszy zabitego, zemściła, co się okazało trafia kobietom i w mniej ważnych okolicznościach, albo też padła trafiona przez Niemców, czego jednak nikt z nas nie zauważył. Musieliśmy więc jeszcze raz wrócić na miejsce spotkania z Niemcami, by ją odszukać, lecz mimo poszukiwań nigdzie jej nie było. Okazało się przy tem, że Niemcy nas nie ścigają; musieli więc ponieść straty od naszych strzałów, gdyż strzelaliśmy w kupę, gdy na nas wybiegli; chcieli nas widocznie „fasować”, krzyczeli bowiem co siły, byśmy się poddawali.

Francuzi okazują nam tu wiele przyjaźni na każdym kroku i popierają nas, o ile tylko mogą. Jednym słowem zachowują się, jak najlepsi sprzymierzeńcy. Oficerów naszych, mających na rękawie marynarki niebieskie opaski, salutują przy każdym spotkaniu. My również salutujemy z ochotą francuskich oficerów. Kilkakrotnie byliśmy już z nimi fotografowani i raz tylko widziałem wyłonek, że sierżant armij francuskiej zabronił swoim żołnierzom stanąć wespół z nami do zdjęcia. Było to napewno poparte rozkazami ich wyższych przełożonych, gdyż nie mogą oni znów tak zbyt otwarcie okazywać nam swej życzliwości, będąc tu na Górnym Śląsku, akurat w misji, która wymaga ich neutralności.

O ile francuscy żołnierze sympatyzują dość otwarcie z nami, o tyle znów angielscy i włoscy stają po stronie niemieckiej bardzo wyraźnie, patrząc na nas zukosa i często zarzucają Francuzom stronniczość na naszą stronę.

Rano obserwowałem typy tutejszych mieszkańców. Naogół podoba mi się ten lud górnośląski. Są to starego, przedwojennego typu ludzie uczciwi i rzetelni, poważni i toboźni, a przytem dobrzy. Dają się lubić, lecz nie dowierzają nam, do czego zresztą mają

moc powodów zwłaszcza, że spotykają między nami różnych ludzi. — Mężczyźni ubierają się z miejską; kobiety wiejskie znów prawie wyłącznie w stroje ludowe, w długie spódnice do kostek i też bardzo długie bluzki, podobne do ubiorów słazaczek z Cieszyńskiego. Robotnice śląskie, pracujące przy kopalniach i fabrykach, ubierają się z miejską; wszyscy tu jednak mówią polską gwara śląską i to nas bardzo uderza, że nawet dama ubrana w jedwabną suknię mówi po chłopsku, czasem nawet rubasznie. Panny tutejsze jednak szybko uczą się poprawnej wymowy polskiej, stykając się z nami, i nie wstydy się wcale okazać chęci do tego, przeciwnie niż ich bracia, którzy wolą pozostać przy swojej gwarze, nie próbując nawet mówić choć częściowo poprawnie, czy też przyswoić sobie choć trochę czystych wyrazów naszej wspólnej mowy.

Z żołnierzami górnoślazakami z naszego pociągu żyję na bardzo dobrej stopie i uważam, że mię dość lubią; natomiast innych „pieronów” — jak mają zwyczaj o każdym obcym się wyrażać — nie znoszą, czemu się wcale nie dziwię, gdyż za dużo wzięło między nas szumowin i wisielców, którzy tak się zachowują, że trzeba się za nich ciągle i stale czerwień. Przeniosłem się do wozu Słazaków i żyję z nimi po bratersku, gdyż łączą nas jedna wielka idea walki o Śląsk. Spodziewamy się napadu Niemców na Łabęty i mamy zarządzane pogotowie.

**21.VI.1921 r.** — Po południu nastąpił nasz odjazd przez Pyskowice (gdzie otrzymaliśmy obiad) i dalej przez Orzechów, Morgenroth, Idaweiche do Szopienic, gdzie stanęliśmy o godz. 16-tej.

**22.VI.1921 r.** — Stojmy nadal w Szopienicach, oczekując na naprawę lokomotywy. Przybył do nas dzisiaj jeden z naszych żołnierzy, który powrócił z urlopu z Sosnowca, gdzie — jak opowiada — miał widzieć leżącą w szpitalu naszą sanitariuszkę, która zaginęła nam pod Gliwicami, na onym słynnym wypadzie. Ma ona podobno ranę na szyi, jakgdyby od ugrzyzenia i oderniętą pierś, przy czym ma być nieprzytomna. Nie dowierzam temu, choć żołnierz przysięga się, że widział ją na własne oczy.

**23.VI.1921 r.** — Dowiadujemy się że powstanie śląskie ma być zlikwidowane i ci, którzy będą chcieli, mogą zostać zwolnieni i odjechać do domów. Można także będzie pozostać w t. zw. armii górnośląskiej po złożeniu odpowiedniej deklaracji. Połowa naszej załogi w tym wszystkie górnoślazacy, ma już być jutro zwolniona.

**24.VI.1921 r.** — Wszyscy czekają na żołd, który miał być wypłacony przed trzema dniami. Szczególniej śpieszy się Słazakom, którzy idą dzisiaj do „cywila”. Są oni bardzo rozgorzyczeni na wszystko i na wszystkich, a już najwięcej na nieporządki. Najwięcej jednak boli ich to, że musimy oddać teraz tak drogo zdobytą Śląsk Anglikom, którzy go przejmują, — jak nam się wydaje — dla Niemców, bo im sprzyja wyraźnie, a nie nam. Jaka szkoda, że Polska nie dołożyła wszelkich starań, by dotrzeć do Odry i utrzymać się przy tej rzecze. Zdaje się, że niewiele do tego trzebaby było, jak tylko dostarczyć więcej broni i ludzi, oraz nie ustępować przed zagranicznymi dyplomatami, którzy widząc stanowczą postawę powstańców, musieli by ustąpić. Znow zawierzaliśmy obcym, że nas nie pokrzywdzą i sprawiedliwie rozstrzygną sprawę Śląska jednak ogół powstańców w to nie wierzy, Inaczejby wszyscy z nami mówili, gdybyśmy byli panami na Śląsku i trzymali go w rękach.

**27.VI.1921 r.** — Siedzimy dalej w naszym pociągu i nudzimy się śmiertelnie.

**28.VI.1921 r.** — Dzisiaj dowiaduje się z dzienników o zawarciu układu z Koalicją co do opuszczenia Śląska, wobec czego proszę o zwolnienie mię z armii powstańczej.

Rano przydzielono do naszego pociągu nowy wóz opancerzony z jedną armatą, z czego wnioskuję, że powstańcy nie zostaną całkowicie rozbrojeni, co mię naturalnie bardzo cieszy.

Dzisiaj odbywa się wielka uroczystość na Śląsku z racji wyjazdu Misji Koalicyjnej. Miasto jest udekorowane biało-amarantowymi flagami i zielenią. Od rana rozlega się huk wystrzałów armatnich, dawanych na powitanie Misji.

**30.VI.1921 r.** — Po południu otrzymuję jednak kartę zwolnienia i wieczorem, korzystając z okazji, iż pociąg pancerny „Pieron” odjeżdża do Krakowa, jadę z nim o godz. 23-ciej.

Kraków, dnia 13 lipca 1921 r.



MACIEJ CZUŁA

## Włóczęgi po krajach Europy\*)

### Kartki z pamiętnika

W Zagłębiu Ostrowsko-Karwińskim (dawny Śląsk Austriacki, obecnie Zaolzie) pracowałem przed I. wojną światową bardzo wiele Polaków z Galicji. „Do Ostrowy” wyjeżdżali ludzie już wtedy, kiedy o wychodźstwie do Niemiec, Danii, Francji czy nawet Ameryki nie było jeszcze wiele słychać, a zarabiali tam niektórzy, ci zwłaszcza, którzy się zakłamywali, wcale ładne sumki, po kilkunastu zaś latach pracy dostawali także niekiedy ładne emerytury. Były to także i renty z tytułu poniesionego przy pracy kalectwa i zmniejszonej wskutek tego możliwości zarobkowania.

Bo praca w kopalniach nie jest sielanką. W głębokości do 1000 metrów pracuje górnik wśród ciągłego niebezpieczeństwa. Wypadki śmiertelne pod złomami węgla, na skutek zatrucia gazami, odciecia drogi powrotnej przez zwałisko węgla lub nawet urwanie się i runięcie w przepaść przeladowanej górnikiem windy były wtedy bardzo częste. Życie udzkie nie wiele ważyło dla fabrykantów, bo istot ludzkich zębrzących pod bramą o pracę było aż za dużo, a w braku odpowiednich ustaw normujących bezpieczeństwo robotnika i odpowiedzialność pracodawcy za jego zdrowie, pracodawcy nie bywali z reguły pociągani do odpowiedzialności i ludzie mogli ginąć w kopalni jak muchy jesienią.

Robotnicy dawali swą pracę, kapitaliści ciągnęli z nich mił onowe zyski a gdy wskutek krzywd na nich popełnionych, robotnicy zaczęli się burzyć jak w roku 1900\*), uspakajano ich salwami karabinowymi, przywódców zaś aresztowano, rozpedzono lub wydalono z pracy na zawsze.

Takie stosunki panowały tam jeszcze w roku 1905, gdy jako 17-letni młodzieniec zapukałem do bramy jednych z wielu w Zagłębiu Ostrowskim — kopalni prosząc o pracę. Przyjęto mnie, zarejestrowano, a następnego dnia wjeżdżałem już w otchłań kopalni, po otrzymaniu przed tym przestrogi, żeby z obawy zapalenia się gazów nie świecić zapalaki i wsunięciu mi do garści numeru porządkowego i latarki.

Wewnętrzny widok kopalni węgla nikogo nie może zachwycić. To nie kopalnia soli w Wieliczce, gdzie są piękne sale, kaplice, jeziora słone i święci Pańscy rzeźbieni artystycznie z soli. Tu całe wnętrza praktycznie urządzone, ale surowe w pomyśle, ponure, groźne i trywialne. Obliczone na wyciągnięcie największego zysku bez zbytecznych wkładów. Jedyną co może zainteresować, to widok napół ślepych koni ciągnących po szynach wozy wyładowane węglem, olbrzymie czarne hale, kręte drogi i chodniki oraz wielkie zwaly węgla, i ludzie błagający się po dziurach i dołach jak duchy.

Sama praca nie wiele się zapewne różni od katorgi. Nawiczej „zaszczytna” i płatna praca t. zn. „hojera” czyli kopacza polega na tym, że włóczęgowie do małej niskiej, podstepowanej krzywej — aby się nie zapadła — komory — musi skurczony i obnażony, z powodu gorąca i dusznego powietrza, kopnąć węgiel za pomocą kilofa czy dynamitu narażony wciąż na śmierć. Lżejszym od tego ale mniej płatnym zajęciem było wywożenie węgla za pomocą taczek lub koni na miejsce przeznaczenia. Czynią to t. zw. „wozaczki”.

Najcięższa zaś jest praca t. zw. „ślepa” lub suwacza, który musi pracować gorzej zwierzęcia nie mogąc stać ani siedzieć lub kłęcząc, bo by zaraz powstał na głowie krwa wy guz, musi ładować węgiel na małe wózki w pozycji leżącej, i w taki sposób ładując węgiel i czolgając się z nim na brzuchu, względnie na czworakach, wywozi węgiel z lochu krwawicę ręce, nogi, kolana.

Do tej ostatniej pracy przydzielili i mnie szygar, cóż skoro nie mogłem się do niej ani rusz przyzwyczaić. Czuję się przy niej niby wół w jarzmie, zmęczony, pokaleczony, zmordowany i wyczerpany do ostatnich granic. Nie dziwna mi była praca, wszak od lat szkolnych chodzę na zarobki, ale ta praca wysysała ze mnie soki żywotne i upakarzała, bo wychodziłem z niej usmolony jak kominarz, ze zwisającymi na mnie zamiast ubrania, jakimiś podartymi łachmanami. Postanowiłem zatem rzucić na zawsze kopalnię, chociaż mój kuzyn powiedział mi na odchodnym:

\*) Wielki i krwawy strajk górników, podczas którego zginęło kilkunastu ludzi.

— Tylu ludzi pracuje i są zadowoleni, a tobie się robić nie chce. Będiesz jadł chleb jak psu wydrzesz, dodał pocieszająco.

Wyjechałem z Ostrowy ale nie myślałem Moraw porzucić, bo mi się nawet zaczęły podobać. Kraj bogaty, ludzie zamożni, miasta ludne i wsie dobrze zagospodarowane. Ale dobrej pracy Polak nie dostał, bo tę zagarniali Czesi lub Niemcy. Mimo to udało mi się wrócić do fabryki fajansów we Freinersdorf koło Znojnska. Co tam w tej fabryce nie wyrabiano! Talerze, garnki, miski, zabawki, filiżanki, skarbanki, wazy popielniczek, guziki itp. Towary rozchodzily się po kraju, ale wysyłano je też za granicę, nawet do Argentyny. Warsztaty nie były bardzo skomplikowane, ale do wyrobienia wszystkich wymienionych przedmiotów potrzebna było się trochę przygotować. „Poduczycie”, a przytem trzeba było mieć i trochę wprawy i pewnych zdolności oraz zręczności. — Zarobek wynosił 2—3 kor.

Zarobioną i dobrze wymieszaną wodę z gliną różnych kolorów rzucano się na koło garncarskie tj na poziomo osadzoną drewnianą tarczę, które trzeba było wprowadzić w ruch obrotowy nogami. Obracającą się na tarczy glinianą bryłę formowało się dłońmi, z pod których — u dobrego fachowca — wyskakiwały z zadziwiającą szybkością coraz nowe i coraz inne cacka. Gotowe wyroby suszyło się w słońcu, wypalało, powlekało różnego koloru glazurą i towar zdalny był do sprzedaży, wysyłki i użytku.

Z początku wyznaczono mi rolę pomocnika. Mieszałem rozmaite gatunki gliny i do starozałem je wykonawcom, niedługo jednak powierzono mi wyrób wader glinianych. A po paru tygodniach nauki także z mojego warsztatu, a właściwie tarczy, wyskakiwały coraz to inne garnki, miski i zabawki, tak zgrabnie zrobione, że im się sam nie mogłem napatrzyć, a i Czesi się dziwili, że tak szybko tę „sztukę” opanował. Bo inni uczyli się długo i nic nie zdziałali.

Po pracy czekały mnie inne przyjemności: wycieczki i spacerki po lasach i pagórkach. Nie obeszło się oczywiście i bez flirtów z czeszkami bo miałem 17 lat — i czulem „wole Bożą” do płci odmiennej. A Czeszki były ładne, zgrabne i nawet kochliwie.

Niedługo jednak, po 6 miesiącach wypowiedziano mi pracę. Może zamówienia na towary były słabsze, albo może trzeba było Czechom zrobić miejsce, więc też dostałem zapłatę i bilet powrotny do Krakowa, bo takiego zażądałem.

Miałem szczęście, bo w Krakowie udało mi się spotkać ubranego z pańska człowieka werbującego kilkunastu robotników do Zagłębia Dąbrowskiego. Nazwiska miejscowości nie pamiętam. Trochę się zastanawiałem czy tam jechać, bo dużo robotników z Królestwa poszukiwało i w Galicji pracy, więc na brak robotników Królestwo się skarżyć nie mogło. Ale mimo to zdecydowałem się na wyjazd, bo na razie innej pracy nie miałem.

Okazało się, że, jak zawsze, za nasz wyjazd ponosi winę fabryka. Wynagradzano w niej robotników tak nędźnie, że postanowili zastrejkwować. Chcieli zmusić właściciela fabryki do podwyżki, a my z Galicji mieliśmy być łamistrejkwami. To też zrobili tamtejsi robotnicy w wielkie oczy jak nas zobaczyli, ale zachowali się w stosunku do nas z rezerwą, zwłaszcza gdy im wytłumaczyliśmy naszą w tym kierunku niewiedzę i że boleje nam nad ich krzywdą.

Przydzielono mnie do pomocy niemieckemu monterowi ustawiającemu maszyny na wysokości II piętra. On cały dzień coś dłu bał i przykręcał, a o mnie zdaje się zapomniał, bo się o żadną pomoc do mnie nie zwracał. Nie chciałem mu się naprzykrzać, bo też cała moja czynność polegała na czytaniu gazet i drzemaniu w kącie. Za tydzień zapłacono mi 9 rubli zarobku, bo resztę, potrącono za wikt w kancynie. W parę dni później robotnicy uzyskawszy podwyżkę wrócili do pracy, a nas „Galickaków” odstawiono „gratis” furmankami do granicy. Wrażenie jakie odniosłem z mojego krótkiego pobytu w Królestwie nie było najlepsze, gdyż niewola Polaków pod caratem wydawała mi się znacznie ciężka niż w Austrii. Jakaś ciężka, nieszczęsna atmosfera unosiła się nad całym krajem i tamtejszymi rodakami, którzy rozmawiali po polsku prawie szepcąc.

Wysokie dziobate czerkiesy, w długich, do

samej ziemi sięgających szynelach i wysokich baranich czapach, oraz napisy wyłącznie rosyjskie upodabniały Królestwo do jakiegoś kraju za chińskim murem i dziesiątą rzeką.

Znalazłszy się po raz trzeci bez pracy w Krakowie wkręciłem się niedługo do pewnego biura, które poszukiwało robotników na wyjazd do wielkich robót ziemnych na Bukowinie. Zgodziłem się tam jechać, bo mi się zarobki wyczerpały, a i legendarną dla mnie Bukowinę, gdzie „za króla Olbrachta wyginęła szlachta” i gdzie bywały niegdyś częste walki polsko-mołdawskie — pragnąłem poznać.

Dość długo (okrągle 24 godzin) trwająca podróż zrobiła na mnie dodatnie wrażenie, bo oglądałem pierwszy raz wschodni i podolski czarnoziem — i szerokie łany kukurydzy, która jest dla tamtejszych mieszkańców tem, czem dla chińczyka ryż, lub dla nas ziemniaki, aż wreszcie ukazało mi się i miasto Czerniowce, stolica Bukowiny. Było to miasto o tyle wtedy ciekawe, że mieszkało w nim kilka obok siebie narodowości jak: Rusini, Rumuni, Niemcy, Polacy, Żydzi, Ormianie, cyganie, a może i inne narodowości nie mówiąc już o potomkach Turków, którzy tym krajem jakiś czas rządili. Jest to więc prawdziwa wieża Babel; wszystkie jednak narodowości żyły obok siebie zgodnie. Z powodu jakiegoś procentu Rumunów zamieszkałych w Bukowinie kraj ten przyłączyła koalicja — po I wojnie światowej do Rumunii.

Polacy mają tam dość bogatą przeszłość historyczną, ponieważ ślady polskości spotkano tam już w XIV wieku, kiedy według kronikarzy Kazimierz Wielki zajął z Ziemią Czerwieńską północną część Bukowiny, budując na wzgórzu Cecyny obronny zamek. Także i trochę wiosek bukowinińskich zostało przez Polaków skolonizowanych, szczególnie po przyłączeniu Bukowiny do Austrii.

W r. 1900 powstał w Czerniowcach „Dom Polski”, w którym pomieszczono redakcję „Gazety Polskiej”, bibliotekę oraz „Sokoła”. Była też bursa im. A. Mickiewicza, polski kościół i zakład wychowawczy dla dzieci. W czasie mojego pobytu liczone było Polaków na Bukowinie na 50.000.

Ziemia na Bukowinie niezwykle urodzajna, ale nie wyzyskana należycie. Rodzą się wszystkie zboża, najwięcej jednak uprawiają kukurydzy i dyni. Lud zdrowy, silny, prawie pierwotny, ubiera się w stroje własnego wyrobu, nie piękne i nie bogate, ale mocne i trwałe. Mieszkańcy wiosek spijają zwyczajnie na dużym piecu, na rozłożonych plecionych matach lub kozuchach. U sufitu wiażą kołyskę z dzieckiem, którą członkowie rodziny kolebią nogami, ażeby dziecko mogło spać. Żywią się Bukowiniacy nędźnie, przeważnie mamalygą i ziemniakami, baraniami i kiszonymi ogórkami, z dodatkiem papryki, która nieprzyzwyczajonemu do podobnych potraw może „pysk wykrzywić”. Będąc raz zaproszony na zabawę widziałem w pewnym zamożnym ruskim domu upieczoną i podaną na wielkim półmisku swinkę. — Cóż, skoro gospodarze nią nie częstowali i sterczała na stole raczej od parady.

Zaczęła się dość ciężka zima, tereny pracy zasypał grubo śnieg, i trzeba się było wobec nieprzyjaznej atmosfery zdecydować zostać na zimę bezrobotnym czy też uciekać do domu. Oszczędności wprawdzie nie miałem bo zarobiłem się zaledwie 2 kor. dziennie, za które ostatecznie można było na Bukowinie wyżyć, ale w zachodniej Galicji musiało się już klepać za tak mizerny zarobek biedę, mimo to zebrałem swoje ubogie manatki w garść i ruszyłem koleją w rodzinne strony.

Wróciłem do domu akurat na ślub swej starszej siostry Katarzyny. Niedługo szwagier namówił ją do sprzedania domu i 2 morgów pola — ponieważ rodzice zapisali jej dom z gruntem, wynawiając sobie dożywocie, a mnie zabezpieczając tylko 600 kor. spłaty. Siostra wyjechała w Poznańskie, a ja już nie miałem rodzinnego domu, bo został sprzedany.

Więc znowu po pożegnaniu z rodzicami udałem się na kolej do Krakowa, ażeby wyjechać do Niemiec, bo opowiadano, że w Niemczech pracowity robotnik może zarobić dużo pieniędzy.

Wychodźstwo ludu polskiego i ruskiego na roboty sezonowe do Niemiec, Francji,

Danii i częściowo Czech, oraz na stałe osiedlenie przeważnie do Ameryki północnej, Kanady i Brazylii przybrało na początku 20 stulecia bardzo wielkie rozmiary. Przeszło milion ludzi opuszczało rocznie granice rozerwanej Polski na krótszy lub dłuższy pobyt a często na zawsze, ażeby szukać w dalekich nieraz krajach polepszenia swej nędznej doli. Nie ulega wątpliwości, że ogromna większość owych, jak ich nazywano, „przelotnych ptaków” wolałaby nie odlatywać, gdyby mogła zarabiać odpowiednio we własnym kraju. Cóż skoro ciężkie warunki ekonomiczne, a czasami wprost nędza, która w Galicji była przysłowowa, pchała corocznie coraz to nowe gromady wychodźców w szeroki świat i na niepewny los, a często i na pośmiewisko wśród obcych.

Celem pośrednictwa między pracodawcami a robotnikami władze dozwalały a nawet patronowały kilku biur emigracyjnym, które ze wzrostem ilości wychodźców wyrosły niby przysłowiowe grzyby po deszczu, przyjmując i wysyłając w świat wychodźców, przyczynając za każdego robotnika płacił pracodawca odnośnemu biuru, a właściwie wysyłanym przez biuro agentom, kilkanaście marek czy koron od głowy pracownika. W Krakowie było biur kilka: największym było Polskie Tow. Emigracyjne, w którym pracował zamordowany później przez Niemców Bolesław Roja. Tow. Św. Rafała patronował trochę ks. Stojalowski, a kierował nim p. Piętko, wreszcie do Francji wysyłał ludzi poseł Wiktor Skolyszewski, a do Czech Br. Krasicki. Biura Emigracyjne w Oświęcimiu i Nowym Bieruniu wysyłały przeważnie ludzi do dworów, biura w Krakowie w większej części do fabryk i robót ziemnych.

Naprzypatrywałem się dość tym niesummiennym handlowi ludzką skórą i godnością, poczym pojechałem do Oświęcimia i zamieszkałem w tamtejszym schronisku, czekając z wielu innymi na przydział do pracy bodaj w Niemczech.

Powiatowe Biuro pośrednictwa pracy w Oświęcimiu miało podtytuł „dla opieki nad wychodźcami”, a było zwykłą targowicą na ludzi.

W nędznych, nigdy n'emytych i njebielonych, przez to niesłychanie brudnych i zarszonych drewnianych barakach, w które dzień i noc dął wicher przez szpary i dziury walało się na podłodze i przyścianach stale kilkakaset ludzi obojga płci, różnej narodowości i wieku, w oczekiwaniu na wysłanie bodaj na jakąś wyspę czy do karczowania puszczy.

Urzędnikom w biurze — jak zwykle bywa — nie śpieszyło się. Im się jeść nie chciało, ani nie dokuczało zimno, więc załatwiali naprzód tych, co mieli pieniądze i dawali łapówki czyli „honoraria”. Kilkanaście metrów dalej stało drugie biuro Z. Biesiadeckiej, która wypychała znowu ludzi do Ameryki. Ponieważ do Ameryki jechali przeważnie ludzie zasobni w gotówkę, a do Prus głodomory, zawarto przymierze. „Amerykanie” hołubili dziewczęta i żony obywateli, dając im w zamian wiktualie i wódkę, głodomory zaś z wdzięczności okradali Amerykanów ile wzięło.

W tym czasie o mało i ja nie zostałem „amerykaninem”, ponieważ odszukał mnie dawny kolega szkolny, jadący drugi raz do Ameryki, niejaki Nosek, i zaczął mnie usilnie prosić — obiecując mi zapłacić kartę okrętową i dać do Ameryki wyżywienie, ażeby mu towarzyszył za ocean, gdzie miał swój dom i rodzinę. Namyslałem się chwilę, co ze sobą uczynić, ale ponieważ nie chciałem odjeżdżać tak daleko od rodziców, którychbym już nigdy nie zobaczył — zrezygnowałem — choć z ciężkim sercem z wyjazdu do Ameryki.

I jeszcze teraz nieraz sobie pomyślę, jakby się ukształtowały moje losy, gdybym się znalazł na drugiej półkuli? Czy stałbym się tam może niedługo „amerykaninem” Ojczyskiego pochodzenia”, a i zapomniał o Ojczyźnie, czy też może zarobiwszy trochę przez parę lat — dolarów, wróciłbym jednak na Ojczyznę łono?

Siedziałem już przeszło tydzień w biurze nie mogąc otrzymać pracy, choć ją mi obie-

\*) Pierwsza część pamiętnika Macieja Czują był drukowana w nr-ze 14(42) „Wsi”.



cywano przy robotach ziemnych w Berlinie, gdy jednej nocy obudzony się poczułem się „goły jak turecki święty” czyli zostałem zupełnie okradziony. Bezczelny złodziej, których się pełno włóczyło, a na których ja koś nie zwracałem uwagi, przywłaszczył sobie nie tylko moje oszczędności, ale także walizkę z bielizną i wierzchnim odzieniem.

Nie mogąc wobec takich warunków czekać na wciąż odraczany wyjazd do Berlina, postanowiłem wyjechać bodaj do jakiego niemieckiego dworu.

Gdy znalazłem się na terytorium Niemiec, zrobiło mi się podwójnie przykro. Raz dlatego, że tylu ludzi, a między innymi i ja, tułać się muszę po obcych krajach za chlebem i wycierać sobą obce kąty, chociaż według słów poety: Polska mogłaby wyżywić pół świata, a powtóre dla tego, że patrząc z okien wagonu na zamożne niemieckie miasta i wsie, oraz wzorowo uprawiane pola, zacząłem zdawać sobie sprawę z naszego niefortuna, gnuśności i nieporadności, bo nie umiemy pracować u siebie, zato pracujemy i tuczmy obcych a nawet wrogów.

Towarzystwo w pociągach w tak zw. IV klasie było zbieraniną ludzi z całej Galicji i Królestwa. Oprócz rzeczywistych robotników jechali szukać szczęścia w Niemczech rozmaici wykołhejcy i kanciarze, wyrzuceni z pracy urzędniczej i skryby biurowe. Dwu takich niebieskich ptaków przyplątało się i do mnie, ofiarowując mi swoją przyjaźń, na co się zgodziłem, bo przydać się w strapieniu i rozterce duchowej mogli, a krzywdy żadnej gdy już grozom nie śmierzdziałem; książki mi marsza grały — nie mogli mi wyrzucić. Okazało się, że jeden z nich był grypziorkiem adwokackim a drugi kwatermistrzem. Postanowiliśmy niby owi Dumasowie „Trzej Muszkieterowie” trzymać się razem i wspomagać. W tym samym wagonie i, jak się okazało, do tej samej miejscowości jechało 30 górali i góralek z Niedźwiedzia i Poręby Wielkiej, a więc z rodzinnych stron Wł. Orkana.

W ciągu rozmowy okazało się, że Smreczyńskiego (Orkana), co haj książki pisze, znają, ale się nim nie zachycali. Lepiej by haj co pomógł matce w pracy, bo się sama krząta koło gospodarstwa — mówili \*)

Ostatnim etapem naszej podróży była wioska „Gross-Komin” typowa pruska osada w okolicach Berlina, zbudowana z czerwonej cegły i rozłożona nad dość brudnym stawem. Dopiero na miejscu dowiedzieliśmy się, że jesteśmy we dworze, że mamy pracować w polu lub w ogrodzie 12 godzin, a za to dostaniemy mężczyźni: 80 fen. dziennie oraz chleb, kilo smalcu lub masła, jeden funt mięsa i dowolną ilość ziemniaków tygodniowo — kobiety dostawały to samo pożywienie tylko fenigów mniej, bo 60 dziennie.

Wynagrodzenie było zatem marne, prawie głodowe. To też od razu przystąpiliśmy do narady we trzech, w jaki sposób należy się stąd jak najprędzej ulotnić, bo górali postanowiliśmy zostawić. Byliby nam tylko kulą w nogi i prędzej by nas tylko żandarmeria odnalazła.

Ale łatwiej było urządzić niż wykonać. Byliśmy przecież zakontraktowani, nasze książki robotnicze leżały w kancelarii dworu i o dobrowolnym ich oddaniu nie było mowy. Uciekać zaś bez dowodów osobistych, to w Niemczech głód i kryminał — bo nikt zbiega do pracy nie weźmie.

Ale uciekać się musiało, bo już robiłem skargę do Izby rolniczej na maltretowanie górali i niemieccy fornałe przyrzekli się na mnie zemścić.

Ale jak i dokąd uciekać? W samą porę przyszedł nam z pomocą człowiek, na którego najmniej liczyliśmy t. zn. kancelista. Znalazł on w swoich szpargałach tyle różnych świadectw i dowodów pracy, że mógłby obdzielić nimi kilkunastu osobników. Wywabił je też specjalnym płynem, powpisany na nich nasze nazwiska i dowody tożsamości, karty pracy były gotowe. Po czekawszy do wieczora wzięliśmy swoje tłumoki w garść i udaliśmy się w obawie pogoni — polnymi drogami w kierunku Berlina.

\*) Kiedy po kilkunastu latach, bo po wojnie światowej, znalazłem się w Niedźwiedziu, ażeby z postem Łaskudą urządzić wiec na Rynku, przypadek chciał, że przewodniczącym wiecu wybrali górale Orkana, a więc go jednak szanowali. Zapoznałem się przy tej sposobności ze znakomitym pisarzem i spędziłem w jego towarzystwie kilka miłych chwil. *Maciej Czuta.*

ZDZISŁAW SKWARCZYŃSKI

## Z przeszłości

W historii dążeń emancypacyjnych ruchy chłopskie i robotnicze nie biegły równolegle. Imne były punkty wyjścia w czasie, odmienne czynniki je warunkowały.

Ruchy robotnicze wyrosły na gruncie dziewiętnasto-wiecznych zjawisk gospodarczych i w szybkim tempie współmiernym z rozwojem techniki przybierały na sile, znaczeniu i świadomości celów skrzystalizowanych ostatecznie w doktrynach socjalizmu i komunizmu i ich odpowiednikach organizacyjnych.

Chłopskie ruchy emancypacyjne grubo wcześniejsze, rozwijały się daleko wolniej i odrobinę omackiem. Posiadały one w sobie coś z odruchu przeciw krzywdzie. Nigdy nie weszły w fazę doktryny mającej podbudowę naukową i nigdzie też poza państwami o wybitnie rolniczej strukturze nie stały się pierwszorzędną siłą społeczną kształtującą losy społeczeństw. Można by także dodać, że ideologia ich nie zawiera pierwiastków internacjonalnych. Nie padło jeszcze dotąd hasło: chłopi wszystkich krajów łączcie się! i przypuszczać można, że w postępowych, zorganizowanych bezklasowo i pragnących zniwelować sprzeczności interesów wsi i miasta społeczeństwach — nigdy ono już nie padnie.

Ale nas obchodzi głównie przeszłość. Otóż pragnę zwrócić uwagę na to przede wszystkim, że względnie stałą cechą ruchów chłopskich była ich znaczna niesamodzielność. Rola chłopstwa w walce o swobodę często redukowala się do roli pożądanego sojusznika prądów: religijnych, narodowych, czy społecznych o większej aktualnie dynamice, choć nie zawsze zgodnych poza momentem negacji istniejącego porządku z istotnymi interesami mas ludowych. Nie znaczy to jednak wcale, by chłopi nie mający wyraźnie wytkniętych programów wychodzili na tym zawsze źle. Każdy ruch postępowy opierający się w jakimś mierze na chłopstwie poprawiał dolę wsi.

Rys tej niesamodzielności ruchów emancypacyjnych chłopskich łatwo dostrzec nie tylko w naszych dziejach. U nas szczególnie dobitnie uwidatniło się w buncie Masława oraz całym cyklu walk wyzwolenicznych.

Sporadyczne dość, nielatte całkowicie do rozplątania, ograniczony mające zasięg są takie zjawiska jak bunt Kosłki-Napierskiego czy rabacja.

Początek wieku XX w Kongresówce, bo w Galicji było inaczej, zastaje chłopów jeszcze na tych pozycjach wyjściowych.

Najwymowniejszą tego ilustracją może być pismo „Zorza”, a w jeszcze większym stopniu jego kontynuacja „Zaranie”, ludowe pismo tygodniowe ogólnokształcące, społeczne, rolnicze i przemysłowe.

STANISŁAW PIĘTAK

## Strajk fornałi

kilku fornałi i kilka bab. Rządca krzyczał, denerwował się i kazał zaprzęgać konie.

— Panie rządco, Walek ma broń, jak my pójdziemy! — wołał jeden z fornałi.

Inny znowu, trzymając kapelusz w ręce, z czarnymi jak ziemia stopami, krzywił się i skrobał się w głowę. — Podobno zresztą dzisiaj wszędzie nie robią, bo to mamy 1-szy maja...

— Dam ja ci 1-szy maja! — wrzasnął rządca i wyskoczył na szczył stopni.

— Policja za chwilę będzie. Telefonowałem. Sam pan hrabia przyjedzie. Komunista! dranie! łajdaki!

— Niech pan się wstrzyma ze słowami, bo może gorzko zapłacić — odezwał się spod bramy na to Walek. — Jest strajk, bo jest 1-szy maja, i bo my walczymy, jak inni robotnicy o to, by nie harować od świtu do zmroku. Chodź nam o sprawiedliwość.

— Dam ja ci sprawiedliwość — zgnięsz jak pies! — zawył rządca. Fornałe radziły posłuchać rządcy, radziły by i nie narażać się Bątorowi — nie szli tedy zaprzęgać, a wciąż dreptali pod schodami i mówili to samo — o uzbrojeniu Walka, o tym, że mają dzieci itd. Przystuchiwalem się temu wszystkiemu nie bez przerażenia, usiadłszy przy płocie i chowając pod siebie zmarzłe na kość nogi i nagłe szepnąłem: — Walenty, a co to jest 1-szy maja?

Bątor spojrzal na mnie i wyrzekł bardzo powoli.

— Szkoda, że nie ma twego ojca, bo by ci wytłumaczył. On pracował w Stanach, w Prusach, w Westfalii, to wie najlepiej... 1-szy maja, Franus, to święto ludu pracującego świata, wszystkich robotników.

Nie zdążyłem tego dobrze jeszcze roztrząsnąć w swoim dziecięcym umyśle, a tu

zwolenczego, organizując w r. 1903 w domu swoim etapowy punkt dla przemytu bibuły. Robi to w sposób tak sprytny, że mimo kilkakrotnych rewizji policji carskiej punkt funkcjonuje bez przerw. W związku z tymi sprawami bywa często w Zamościu i Warszawie. W jesieni 1905 r. organizuje w swej wsi tajną szkołę polską, a w Zwierzyńcu na wiecu ludowym przemawia za wprowadzeniem do gminy języka polskiego. Wobec groźby aresztowania uchodzi w początkach r. 1906 za kordon. W czerwcu tegoż roku po amnestii wraca do rodzinnej wsi.

Pobyt w Galicji wyklarował jego tendencje społeczne i sympatie. Wraca Łazarczyk jako radykał wiejski wykształcony na myśl socjalistycznej, która mu patronuje już do końca jego bardzo ożywionej i wszechstronnej działalności publicznej w swym rejonie i poezji uprawianej w ramach Zarania.

Czasowo tylko w okresie największego wrzenia rewolucyjnego przynależał do PPS — Kuba Raciborski, działacz i pisarz ludowy. Po opadnięciu fali rewolucyjnej przechodzi on do obozu chrześcijańsko-narodowego zaniechawszy współpracy z Zaraniem i stawiając się literatem „Jutrzenki” redagowanej dla wsi przez ks. Kwiatkowskiego.

W najpiękniejszy sposób realizuje społeczne braterstwo robotniczo-chłopskie Kachna Łęczynianka-Lesiońska, córka małorolnego chłopca.

W swej twórczości łączy ona elementy chłopskie z robotniczymi, stając się jakby ucieleśnieniem dziewiętnasto-wiecznej formacji społeczno-kulturowej pod mianem ludu.

Czytać nauczyła Łęczyniankę matka na śpiewnikach i bibule socjalistycznej. W domu bowiem jej rodziców znajdował się punkt kolportażowy ogniskujący życie partyjne okolicy. Stąd rozchodziła się nielegalna prasa, ulotki, instrukcje i broń. Rychło i Kachna bierze w tych pracach udział stając się czynnym członkiem bojówki PPS. W tym czasie powstają jej wierszyki pełne hasła wyzywających do walki o wolność i sprawiedliwość.

W odrodzonej Polsce bierze Kachna żywy udział w ruchu ludowym.

W roku 1928 zamieszkał w Starachowicach, zbliża się do środowiska robotniczego i wraca jakby do źródeł swych idei, poświęcając swą twórczość proletariatu fabrycznemu.

W służbie tych idei trwa aż po kres swego żywota dokonano 25 czerwca 1943 r.

W okresie wojny szybko wraca do swej młodzieńczej praktyki konspiracyjnej. Inicjuje już w r. 1939 i współredaguje starachowicką „Pobudkę”.

spłoszył mnie stukot kopyt, huk pędzącego wózka. Ledwo zdążyłem się skryć w kątku między bramą a plotem, a tu z wózka wyskoczyło trzech policjantów i z karabinami złożonymi do strzału ruszyło naprzeciw stojącego Walka.

— Ręce do góry! — krzyknął pierwszy.

— Panowie, jakim prawem? Ja uprawiam, ja działam nie sam, to jest powiatowy komitet! — krzyczał Walek.

— Milczcie! Milczcie! — krzyczał brodaty hrabia z wózka i rękę wyciągał do całujących go bab.

— Panie Fudała, a pod źebro chama!..

— Tak, pod źebro, a i w mordę!.. — wołał rządca, wysoki, bladej mężczyzna i widząc, że Walek jest już prawie zakuty, podszedł i splunął na niego.

— Już nie będziesz oglądał światła dziennego, draniu! — ryczał.

— Panie hrabio — zgął się w płaskim uśmiechu. — A to jeszcze trzeba zakuc i Partykę i Rędzia, oni też judziili..

— Tak? Ano to wziąć ich — szepnął hrabia i ręce skrapiał wodą kolońską, kazał przy tym stangretowi dać cukru koniom, które spocone drżały lekko, parskały i przestępowały z nogi na nogę.

— My nie, my nie, jasnie hrabio — gięli się ku samej ziemi Partyka i Rędzia i ryczeł na głos. Nic im to zresztą nie pomogło, skuto ich i Walka i pognano do miasta.

Walek tylko szedł bez strachu, z podniesioną głową, mściwie patrząc przed siebie.

Odprowadzałem go oczami aż do zakrętu, gdzie rozpoczynała się droga kasztanów i drzałem. Nie orientowałem się w położeniu, a przecież umysł mój dziecienny, jakże wielką miłością otaczał tego chłopca, (Dokończenie na str. 8-ej).



LEONARD SOBIERAJSKI

# Mylne drogowskazy

Reymonta „Chłopi” i „Ziemia Obiecana”

LIPCE

Dystans kilkudziesięciu lat wobec niektórych powieści pozwala nam stwierdzić jak często literacka wizja mija się z rzeczywistością. Najbardziej przekonującą ilustracją tego faktu są „Chłopi” i „Ziemia Obiecana” Reymonta. Lipce i Łódź gdzieś z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, to dwa światy, które nie mają i nie powinny mieć żadnych punktów zbieżnych. Robi się to w imię czego? Reymont jest w poszukiwaniu wartości, które mają uchronić człowieka przed zgubnymi wpływami cywilizacji technicznej. Stąd apoteoza Lipiec i paszkwil na Łódź.

A przecież Lipce to zaczarowane koło, w którym ruchy wszystkich są bezwolne, odmierzone, wyczerpane i raz na zawsze określone. Z Lipiec nie prowadzi ścieżka w świat. Gromada Lipiecka nie zdolna jest włączyć się w ogólny proces rozwojowy.

Wieś reymontowska ekonomicznie jest różnicowana. Jest tu kilku zamożnych gospodarzy, duży procent małorolnych i spora grupka komorników. Miernikiem jest ilość posiadanej ziemi, uznaniem społecznym cieszy się zamożny gospodarz, Lipce jednak w lwim procencie żyją w nędzy. Spójrzmy jak wygląda mieszkanka małorolnego starego Bylicy: „Chlew to przegniły nie dom, kupa zmurszałych bali, nawozu i śmiecia zgnitego. Ni jednej deski na ziemi, gliniany tok pełen wybojów, błota przymarzłego i śmieci wdeptanych, że niech ino odgrzało od komina, to smród był gorszy, niżli z gnojówki, a z tego trzęsawiska dźwigały się ściany, spazzone, struchlałe, przegniłe, że wilga latała po nich, a po kątach mróz trząsa siwą brodą, ściany pełne dziur, pozapychanych gliną a miejscami słomą z nawozem! A niski pułap wisiał kiej to stare sito podarte, że słomy opajecznej więcej w nim było niżli desek”. To jest przeciętna, tak mieszka większość. Ludzie ci nie mają możności wypracowania kawałka chleba. Są bezradni. Do świadomości ich nie przenika choćby jakiegos sensowniejszego zorganizowania sobie życia. W nieodwracalności zastanych form utwierdza ich jeszcze i system wychowawczy, którego wykładnikiem jest ambona Boryna poucaza Kubę: „pomiarujesz, że co parobek, to nie gospodarz. Każden ma swoje miejsce i dla każdego

## Strajk fernali

(Dokończenie ze str. 7-ej).

który przeciwstawiał się wszechwładnemu hrabiemu. Serce ścisnęło mi się z bólu, bo myślałem, że Walek zgłnie.

Hrabia odjechał cugowymi, karymi końmi, a my wszyscy pozostali ruszyliśmy do roboty. Mnie karbowy przydzielił tego dnia do poganiania wołów. Szedłem za pługiem, krzycząc na otępiałe woły wciąż — a k' sobie, a k' sobie — i choć byłem głodny, myślałem o słowach, które mówił mi Walek.

Pole było tu nizinne, opodał kwitła już tarnań, nad rzeką zieleń się świeża barwą łozy i wierzb.

— 1-szego maja to ma być — no, a dlaczego nie kiedy indziej? — szeptałem w myśli. — Dlaczego np. nie 1-go stycznia?

— Czyżby dlatego, że wiosna, że tak pięknie robi się na świecie? Począłem się modlić, aby mój ojciec, który wciąż walczył na froncie jeszcze, wrócił i wytłumaczył mi wszystko. Opowiedział, co to jest komitet, co to jest strajk, co to jest lud pracujący... Za pługiem szedł głuchawy fernal, Bazarnek i jakby spał. Oczka małe, bure mu się kleiły, trzymał się cepigów przecie i włókł się po brudzie.

— Bazarnek, a wy wiecie, dlaczego my mamy 1-szego maja nie pracować — bąknąłem.

Ziemia już zupełnie odtajała, skowronki śpiewały wysoko nade mną, od wsi szły baby niosąc fernalom śniadanie.

Bazarnek otrząsnął się, jakby go pchły gryzły i nagle spojrzął na mnie ze zdziwieniem.

— Poganiaj! Poganiaj! — ryknął.

Znów dojechaliśmy do końca niwy i zawracaliśmy z powrotem. Ponieważ Bazarnek mi nie odpowiadał, wyobrażałem sobie w natężeniu najróżniejsze rzeczy, ot np., że Walek wyprostowany, dumny idzie, wstępuje z nieulekłym oczyma na szafot...

Rola parowała coraz więcej — ja zaś ślaniałem się coraz bardziej od wzburzonych myśli...

Stanisław Piętał.

co innego Pan Jezus wyznaczył. Wyzna czył ci Pan Jezus twoje, to go się pilnuj i nie przestępuj, na pierwsze miejsce się nie pchaj i nie wynos nad drugie, bo zgrzeszysz ciężko. I sam dobrodziej ci powtórzy to samo, że tak być musi, by porządek na świecie był”.

## CHOĆ ZŁE — NICZEGO NIE ZMIENIAĆ

Mieszkańcy Lipiec wrosli w swoją wieś korzeniami. Nie mogą od niej odejść. Antek znalazłszy się w ciężkiej sytuacji, próbuje znaleźć pracę, ale robi to na niby, bez wewnętrznego przekonania: „Szukałem, ale choćbym i dostał nie pójdę ze wsi, nie będę się tłukł po świecie jak ten pies bejszpański”. Poza gromadą wiejską nie ma dla niego życia. Skoro wszedł w posiadanie ojcowej gospodarki, podporządkował się całkowicie tradycyjnemu wzorowi.

„Przeżył w sobie, gotów dźwignąć się na to nowe życie, którym już szedł ojciec, jakim przeszły dziady i pradziady i tak samo jak oni pochylał bary, by wziąć ciężki trud i ponieść go nieulekły i nieustrudzenie aż dopóki Piotrus nie zastąpi go z kolei...”

— Tak już być musi! Młody po starym, syn po ojcu a sposobnie, a ciągiem, dopóki twoja wola Jezu Miłosierny — dumal surowo”.

Lipce reymontowskie nie powinny zmienić swego oblicza. Obojętne jest, że świat idzie naprzód, że system produkowania środków żywności włącza się w ogólne procesy gospodarcze, obojętne jest, że gdzie indziej rolnik korzysta z dóbr kulturalnych wytwarzanych przez inne grupy społeczne. Do Anka Boryna nic z zewnątrz nie dotrze. On i jego rówieśnicy przekażą wieś następnemu pokoleniu tak, jaką przejęli od swych ojców. Rodzą się odruchy buntu w świadomości chłopów bezrolnego. Pragnie ziemi, bo żadnego innego rodzaju pracy nie dostrzega. Reymont nie podsuwa mu żadnych innych możliwości. I w tym właśnie tkwi perspektywny błąd książki. Jeden z lipieckiej gromady: „A bo już wytrzymać nie mogę, jaże diabli człowieka biorą: ciasnota wszędy, że chałupy dzw nie rozwalają, tyła w nich siedzi, bieda jaże piszczy...”

A dalej: „Mościewy, tyła wszędy narodu próżno siedzi po chałupach i czeka roboty kiej zmiłowania”.

## CZŁOWIEK — PRODUKT WSPÓŁZYGIA Z NATURĄ

Fakt autor stwierdza, ale rozwiązania nie daje. Widać u niego ciągłą ucieczkę od trudnej problematyki wsi, ucieczką w opisowość. — Lipce mają dla niego wartość przede wszystkim modelu malarskiego. W opinii ogółu „Chłopi” to epos chłopski, jest to jednak raczej epos krajo-brazu wieskiego. Wieś reymontowska jest odhumanizowana. Człowiek jest tu czynny na przyrępek, czynny z drugiego planu, w myśl chyba zasady, że nieważny jest, bo się zmienia, ustępuje, pozostawiając zawsze niezmienną scenę, na której przypadkowo przychodzi mu występować. Autor nie chce dostrzec, że na wsi marnują się siły społeczne. W tym okresie na terenie samego tylko zaboru rosyjskiego jest w ostatnich dziesięcioleciach ubiegłego stulecia około miliona proletariatu wieskiego.

Wzór społeczny dla Reymonta to Maciej Boryna. Otóż to wszystko, co autor ceni w Borynie jest jakby produktem współzycia z naturą. Praca na roli zastępuje na jego pełne uznanie, nie ze względu jednak na swoją użyteczność, na jej wytwory, lecz dlatego, że kształtuje ona cenną osobowość ludzką. To jest dla niego najważniejsze. Współzycie z naturą daje człowiekowi szczęście i zadowolenie. Nieważna jest tu praca jako źródło postępu cywilizacyjnego, praca zmierzająca celowo do przekształcenia rzeczywistości, lecz praca jako wysiłek sam w sobie i dla siebie. Nie panować nad naturą, ale oddać się jej z ufnością — oto konkluzja autora „Chłopów”. To stanowisko zaprowadziłoby Lipce w ślepy zaułek.

## UBOGI CHŁOP W ŁÓDZI

Pod kątem kształtowania osobowości patrzy Reymont i na środowisko łódzkie.

Nie widzi on tu warunków, w których ta osobowość mogłaby swobodnie się rozwijać. Nie wiele go interesuje zadanie jakie staje przed człowiekiem, nie interesuje go ogrom pracy, której człowiek podjął się na tym nowym dla siebie odcinku.

Lipce jako problem społeczny i Łódź jako problem społeczny, to sprawy dla autora nieistniejące.

Spójrzmy teraz jak w „Ziemi Obiecanej” wpłótł się element wiejski w proces uprzemysłowienia Łodzi. Autor pokazuje to, wydając równocześnie wyrok potępiający. Rozpoczyna od chłopca małorolnego Sochy. Rzeczywistość mówi nam, że Łódź w drugiej połowie XIX wieku wchłonęła około stu tysięcy ludności wiejskiej. Między innymi pociągnął i Socha — mieszkający podkurowskiej wioski. Reymont kreśli dwa portrety Sochy. Oto jego pierwszy obraz po przyjeździe do Łodzi: „...chłop w białej kapocie, wyszywanej na szwach czarnymi tasiemkami, w portkach w poprzeczne czerwone, białe i zielone pasy, w kamizelce granatowej z mosiężnymi guzikami, Koszule miał zawiazaną na czerwonej wstążeczce, stanął przy drzwiach wyprostowany, baraniąc zawieszony na własnych pięściach przyciśniętych do piersi i patrzył niebieskimi, surowymi oczyma w Borowieckiego, od czasu do czasu odrzucając ruchem głowy grzywę płowych, niby konopie... włosów, co mu wciąż opadały na twarz starannie wygoloną”. Otóż mamy tu chłopca jako typ: barwny strój, konopna grzywa, godność w postawie. Jaka jest obecnie jego pozycja socjalna?

„Miełsiwa chałupę zaraz za dworem, pierwsza ode wsi, grontu to mój kupił ino dwie morgi i prętów dwadzieścia pięć. Używiłby się z tego nie użył”. Dorabia się więc Socha furmanianiem i wysługami. Niszczy go jednak ogień, po splonięciu całej gospodarki, nie ma już szans na utrzymanie się na wsi. Rusza się do Łodzi. „A teraz chociaż znaleźć robotę w fabryce? Juści tak, wielmożny Panie. Bośwa zeszył na dziady, bo się spaliło wszystko, i chałupa i chora i całki lewen tarz, nic, ino teraz iść po przozonem”.

Istnienie Łodzi stwarza dla Sochy możliwość pracy, nie potrzebuje iść „po przozonem”, staje się jako robotnik czynnym nadal członkiem społeczeństwa. Zmienił warsztat pracy, wszedł w nowe środowisko, włączył się w grupę społeczną, która współuczestniczyła w powstaniu wielkiego przemysłu. Socha z życia na pewno wytrzymał próbę przejścia z jednego kręgu pracy w drugi. Reymont w powieści tego mu odmawia. Przed gankiem stali Sochowic, ale tak zmienieni, że nie poznali ich na razie. Socha zamiast białej kapoty, miał czarny surdut, pokapany woskiem na polach, czarne za krótkie spodnie, wyciągnięte na cholewy, czapkę z daszkiem, gumowy kołnierzyk, który mu zjeżdżał na kark i odsłaniał brudną szyję. Zapuścił brodę, która mu, niby ostra, szpicinowa szczyłka pokrywała szczęki i łączyła się przy uszach z krótko obciętymi włosami, wysmarowanymi pomadą. Z żółtej pomiętej i zmizerowanej twarzy patrzyły dawne, niebieskie poczciwe oczy.

W nowym portrecie autor wydobrywa rysy brzydoty karykaturuje jakby Sochę. Znikła krasa, piastowska godność, znikł model do portretu i tego właśnie autorem żał.

A Socha na pewno w oczach swojego środowiska nic nie stracił. Cenią go tam za to, że nie dał się biedzie, że ręki do ludzi nie wyciąga, daje sobie sam radę.

## CHŁOP BOGATSZY W ŁÓDZI

A jak wchodzi w życie łódzkie chłop z większego gospodarstwa — Kaczmarek? Dzięki bliskości miasta potrafił on rozwiązać kwestię swojego nierentującego się gospodarstwa. Gdyby uparł się on iść śladem „ojców i praojców” jak postanowił to Antek Boryna, doprowadziłby się do nędzy. — „Przed tym panienko, to ja byłem głupim chłopem na półwłóczku. Miałem pół piasku i pół gliny szczerzej. W suchy rok to mi z piasku wywiał, a na glinie spaliło, a w mokry na glinie wygnilo a na piasku tyż nie było. Taką gospodarke prowadziłem, że bydlatka jadły pokrywę z obory, a człek marł z głodu. Głupi wtedy byłem przynajmniej, bo dlaczego miałem być mądry? Abo mnie to uczyli, abo mi miał kto poradzić? Mój dziedziec taki był tłusty w rozum, jaze go Niemcy zjadły, to i chłopu go nie użyczył. Więc biedowałem jak ojciec i dziadkowie, jak Pan Bóg chłopskiemu narodowi przykazał...” Do tej pory Kaczmarek zachowuje się według wzoru lipeckiego. Szczęściem jego jałowe morgi leżą w pobliżu Łodzi”.

„W Łodzi stawali fabryki, niektóre komorniki i mniejsze gospodarze chodzili na robotę, furmanili, ja się nie ruszałem... Łódź szła do wsi, ale i bieda miała dłuższe

nogi i chwyciła mnie tak, że już myślałem: sprzedam i wyniosę się dalej”. Kaczmarek spostrzega wreszcie, że ma piasek, który może być również dobrym artykułem zbytu jak kartofle czy zboże. Jedzie więc z pierwszą furą piasku do miasta. „Potem tom ino zrzynał te górki i fort wywoziłem do Łodzi, bez całej dwa lata, dzień w dzień, w trzcinie jeździł i parobek com go przynajęł, wozili piasek, a przywozili go co innego”. Kaczmarek za domadą wykorzystuje i glinę. Stawia cegielnię, najpierw produkuje ręcznie, a później sprządza maszyny parowe.

Reymont stwierdza tu pewien fakt, którego trudno było przeczyć, jednak i tu nie wyciąga właściwych wniosków. Kaczmarek ziemię wykorzystywał praktycznie, w danym układzie gospodarczym zużył ją w sposób najbardziej celowy. Przez wybudowanie cegielni i domu w mieście, przez kształcenie dzieci powiększa on majątek społeczny. Tworzy warstwę miejską, dla której nowa rola jest awansem społecznym, warstwa ta ma poczucie własnej siły, nowe pole działania stwarza dla niej inne zupełnie kryteria wartości społecznej. Emancypacja Kaczmarka mogła nastąpić tylko dzięki rozrastającej się Łodzi. Fakt bezsporny, a jednak Reymont ciągle odmawia Łodzi dodatniego znaczenia. „Dla tej „Ziemi obiecanej”, dla tego polipa pustoszały wsię, ginęły lasy, wycięczala się ziemia ze swoich skarbów, wysychały rzeki, rodziły się ludzie, a on wszystko ssal w siebie i w swoich potężnych szczykach miażdżył, przeżuwał ludzi i rzeczy, niebo i ziemię i dawał w zamian nieliczne garstce miliony bezużyteczne, a całej rzeszy głód i wysiłek”.

Reymonta razi chałupa starego Bylicy w „Chłopach”, nie chce jednak przyznać, że może ona zniknąć dopiero wtedy, kiedy Kaczmarek z „Ziemi obiecanej” wybuduje cegielnię. Nie widzi również, że krasne chustki, w które stroi Jagnę, wyrabiane są w fabryce starego Bauma.

## SPRAWA AWANSU KULTURALNEGO

Jest jeszcze jedna postać w „Ziemi obiecanej”, przeffancowana z gruntu wieskiego na miejski, to młody Stach Wilczek. Reprezentuje on typ zdobywcy, pragnie się wybić za wszelką cenę; wieś reymontowska nie dałaby mu pola do zaspokojenia jego ambicji. Swoją osobą reprezentuje on poważny kapitał społeczny. Ważne jest to, że pragnie on działać praktycznie, do pracy swojej ma stosunek pozytywny. Walczy on o uznanie społeczne tego środowiska, do którego obecnie wszedł. Przyjmuje wypracowany przez nie wzór społeczny, wzór biznesmana. Czy wzór ten był cenny, za to już Wilczek odpowiedzialności nie ponosi. Tę postać pragnącą działać praktycznie, chcącą brać czynny udział w ówczesnym życiu gospodarczym, Reymont dyskredytuje na każdym kroku, odmawia jej wartości, ponieważ odeszła od wzoru człowieka pracującego na roli, a nie przyjęła wzoru człowieka dobrze wychowanego. Wyposaża go w brzydotę fizyczną, ośmiesza, charakteryzuje ciągle na minus.

Nasza wieś pod koniec dziewiętnastego wieku zaczęła świadomie wchodzić w życie narodu. Reymont, tę masę wieską pragnie zatrzymać na miejscu, nie budzi on w niej potrzeby awansu kulturalnego, nie doprowadza do świadomości, że winna ona brać udział we wszystkich pracach podejmowanych przez naród. Na emancypacji elementu wieskiego nie straci wieś a zyszcze kulturę całego narodu. Lipce i Łódź nie mogą pozostać światami oddzielnymi, muszą się przenikać, złączać, muszą wyciągnąć ku sobie ręce. Hipnotyczny krąg którym Reymont odgrodził wieś polską, rzeczywistość już starła, sprzed miasta usunęło również tablice ostrzegawcze, które stawia się w rejonach zakażonych. Chłop jest członkiem nie tylko gromady wieskiej, ale członkiem szerszych grup społecznych: potężnych instytucji gospodarczych i kulturalnych, które współuczestniczą w organizowaniu rzeczywistości społeczno-kulturalnej narodu. Nasza wieś w porównaniu z Zachodem również nie przeżyła wieku dziewiętnastego. Ma wiele do odrobienia, musi przyjąć wszystko to co cywilizacja techniczna stworzyła właśnie dla wsi. Wieś musi wypracować sobie nowy wzór społeczny, według którego kształtowałoby się młode pokolenie. Wzór dany przez Reymonta do rzeczywistości dzisiejszej absolutnie nie pasuje, nie jest on cenny, ponieważ spycha wieś na margines historycznych procesów, kształtujących dzisiejsze społeczeństwo.



# Ze społecznej poezji słowiańskiej

CASSIUS

Czechy

## Wtedy i tam

(Tentokrat tady)

Z pieśnią kwitnącą od płasiej uciechy  
przyniosła wiosna to poselstwo:  
wtedy i tam,  
ty i oni!  
Wtedy i tam róża ma kwitnąć krwią  
i niby ból zawoniec.  
Ta miedza, którą lemiesz twój poniechał,  
to będzie okop twój i wał.  
Wtedy i tam,  
w miejscu, gdzieś sadził wiosne w twym  
ogrodzie,  
ty, wieczny krecie, będziesz ziemię ryć  
lub tam, w ten tan, któremuś ziarno dał,  
padnieś dojrzałym siewem sam —  
w czerń,  
aby kielkować cma,  
gdzie w brzdach białe smugi schną  
w wiosennym tarze.

Wtedy i tam  
lub tam, gdzie pośród sadów dwóch,  
w kamieniach wygrzył czas strzelnice,  
skosztujesz, jaki smak ma umieranie,  
jak winny moszcz z własnego winobrania.

Wtedy i tam,  
gdzie ziemia milowana,  
czy blisko tu, czy tam hen precz,  
zawsze ten dom jak niezmożona ściana,  
abyś się oprzeć mógł, gdy trzymasz straż  
i wlewnie ani krokiem wstecz,  
gdybyś się wahał sercem.

Wtedy i tam,  
dbaj, abyś „żegnaj!” szepnął wiośnie  
i twoim snom o szczęściu.  
Bo krwawy księżyc w letniej nocy rośnie  
i kukurudza tajemnie szeleści.  
Technie duchów szepł z tej rozranej  
ściany;

Ty, poszedł, bo ktoś wołał,  
oddać swe życie młode,  
syneczku nierozumny!

Wtedy i tam,  
za twą słodkość.

Lidové noviny 19. VI. 1938  
„elezná Roszila”

przełożył Zdzisław Jerzy Kempf

JAROSLAV SEIFERT

## Ziemia ubogich

(Zemie chudych)

Winogron nie zrywałem,  
bo nie był mój ten sad,  
z ogrodów w ciszy białej  
zapachniał cudzy kwiał.  
Gdy mnie pytano, w jakim  
ja, nędzary, żyję śnie,  
to z winnie w odpowiedzi  
drwiący mi dzwonił śmiech.  
Winogron nie zrywałem,  
bo nie był mój ten sad.

By ważyć ciężar kłosów,  
nie stęga moja dłoń,  
gdy z pól w porannej rosie  
słyszałem maszyn puls.  
Jam jeno ssał ich woń  
i cierpiał nędzy ból,  
kiedy pod oknem moim  
dla innych nieśli chleb.  
By ważyć ciężar kłosów,  
nie stęga moja dłoń.

A na pobrzeżu rzek,  
w ich piasku złotonośnym  
nie zabłysł dla mnie skarb  
ni złota ni kamieni,  
abym ci, ziemio, rzekł  
we wzniosłym dziękczynieniu:  
Patrz, za ten hojny dar  
będę cię kochał wieki!  
Tu na pobrzeżu rzek  
w ich piasku złotonośnym.

Aż błysnął w dziejach mój,  
gdyś była, ziemio, moja —  
więcej niż tamtych mocnych  
i w tobie był mój los,  
hom twój usłyszał krzyk,  
oślebie miał pełne oczy.  
I ryochłom oreż dźwigił  
w tę chwilę bezpomocną.  
Bo błysnął w dziejach mój,  
gdyś była, ziemio, — moja!

Z. twych promyków żar,  
za złotych jaskrów śmiech,  
za rdest i dziewięcisty  
kwitnące u twych dróg —  
Idziemy! A za miłość,  
by ustał w pierśi dech,  
dał spełnić octu kielich,  
który by boleść zmógł.  
Za twych promyków żar  
i złotych jaskrów śmiech.

Právo lidu 5. VI. 1938  
Zhasniete svetla

przełożył Zdzisław Jerzy Kempf

Białoruś

MAKSIM TANK

## Cisnę z tęgich ramion...

Cisnę z tęgich ramion  
lachman popod ławę,  
zakaszę po lokcie  
grzebne swe rękawy.

Przed odejściem włosce  
poklonię się nisko  
i na miedzy — brzócce,  
co była kołyską.

Gdybym zaś pod wleczół  
jeszcze nie powrócił, —  
o mej drodze piosnkę  
gęsi sznur zanuci.

Do jutrzeńki, słońca  
od krzywej osiny  
dalej wam pokażę  
ścieżkę — swą czupryną

I zwołacie młodzież,  
bliskich mych znajomych,  
cymbalistę Jurka  
ze skrzyptkiem Szymonem

By nie tarli oczu  
lachmanem siermięgi  
napolele struny  
gorzałeczną łęgą...

Może jednak wrócę —  
gościńca przyniosę  
aż do późnej nocy  
brzmieć tu będą głosy.

Przyniesiemy słome,  
rozognimy niebo,  
niechaj czesze chmury  
jasny kura grzebień.

Aż do samej jutran'  
do różanolicęj  
będą nasze nogi  
krzesać błyskawice,  
będą nasze struny  
głąć się od uciechy,  
zbożem pachnieć gumba,  
śmiać się głośno strzechy...

przełożył Kazimierz Andrzej Jaworski

Rosja

MIKOŁAJ NIEKRASOW,

## Zagon niezjęty

Jesień już późna, ptak leci za morze,  
Lasy pożółkły, zebrano już zboże;

Jeden wśród pola tylko zagon mały —  
Kosą nie tknięty, od znojów zbierały.

Kłosa zwieszzone szeleszczą do siebie:  
„Smutno nam słuchać tej burzy na niebie,

Smutno nam schylać aż do samej ziemi  
I karmić ptaki ziarnami złotymi.

Stado żarłoczne nas co noc pustoszy,  
Depcą zające, których nic nie płoszy,

Burza nas łamie i mroźny wiatr chłodzi.  
Gdzież jest nasz rolnik? — Czemu nie  
przychodzi?

Czyśmy się gorsze od innych zrodzili?  
Czyśmy pospólnie się nie wykłosisy?

Bujne w nas ziarno i suche i zdrowe  
Na korzyść czelaka już dawno gotowe.

Wszakże nie na to pracował nieboże,  
By wiatr po polu rozsypywał zboże”.

A wiatr im tylko zaszumił wśród pola:  
„Rolnika ciężka dotknęła niedola.

Wiedział, dlaczego zasiewał was w pocie,  
Lecz sił ku dalszej już nie ma robocie,

Wpadły policzki, przygasły mu oczy,  
Serce zbolełe zły robak dziś toczy;

Ręce, co skiby orały równemi,  
Wyschły i słabe opadły ku ziemi,

I nieśń umilkła, co biła pod niebo,  
Kiedy nad swoją pracował tu glebę”.

przełożył Antoni Kolankowski

SIERGIEJ JESIENIN

## Krowa

Zgrzybiała, zęby wypadły,  
zwojami lata na rogach.  
Bił ją poганиacz zajądły  
Goniać po polnych roztołgach.

Niemily gwar życia sercu,  
Gdzieś w kęcie chroboczą myszy.  
O białonogiem cielęciu  
Zalotne przeżuwa myśl.

Zabrali macierzy syna,  
Nietrwale radości pierwsze!  
Na drağu, hen, pod osiną  
Skóra się miota na wietrze.

Na długim powroście wprędce  
Pójdzie za synem na zgubę,  
U szyi zwiążę jej pętlę  
I poprowadzą na ubój.

Smutno i tęsknie, żalotnie  
Ku ziemi rągi się skłonią,  
Śnią jej się Łwałę zarośla,  
Trawą szumiące wygony.

przełożył Seweryn Połlak

Bułgaria

ŁAMAR

## Zima

I ja i ojciec i matka  
tu śpiemy na zdartym postaniu,  
a stare psisko się łska  
i patrzy na nas splakane.

Tam zima się czai zjeżona  
i głuchnie wietrzysko na polach,  
wnet pocznie smagać z przekleństwem  
mchy, buk i jawory.

Naszą starą kolibę  
kolysze zła powierucha,  
a ona tej zimy nas skrywa  
pod swą lodową pazuchą.

Wilki po nocach się dławia  
i myślą o martwym stadzie,  
a zimo lekko nęsuwa  
kucznię na krzyżyk dziada.

przełożył Zdzisław Jerzy Kempf

ŁAMAR

## Chajduti\*)

Hej, bracia moi,  
junacy,  
spowici w czarne lachmany,  
to Bałkan pieśń białogrzywy  
śpiewa,  
wstańcie,  
junacy!

Wolności nie błysło nam słońce,  
smutno śpiewamy młodzieńcy,  
prądawne pieśni bułgarskie  
z nędzą splatamy we wieńce:

Siostrzyco moja,  
dąbrowo!  
Liściu zielony,  
bukowy!  
Czarny nam płaszek zakakał —  
włów naszych czarnych tysięcy!

Hej, bracia moi,  
junacy,  
spowici w czarne lachmany  
to Bałkan pieśń białogrzywy  
śpiewa,  
wstańcie,  
junacy

Tabuny powstały  
Dunejem,  
jak z racy  
bunt  
oszalały,  
burza  
i ogień  
i działa

przećw carow i bogu —  
junacy!

Hen, stary Bałkan we szronie,  
nieletnie płaczą sieroty...  
Precz jarzmo i łańcuch z dłoni,  
bić go krzemieniem, toporem!  
Zniwo się w polach przewraca,  
brak chłopu, by sierpem zamachał,  
od suszy strzaskaly ugory,  
Izy roni za chlebem biedota...

Siostrzyco moja,  
dąbrowo!  
Liściu zielony,  
bukowy?  
Czarny nam płaszek zakakał —  
włów czarnych naszych tysięcy!

przełożył Zdzisław Jerzy Kempf

\*) Chajduti — hajducy, członkowie band  
rozbojniczo - partyzanckich, walczących z  
Turkami i „bogaczami”. Stanowili grupę nie-  
co pokrewną i kozakom zaporoskim i „zboń-  
nikom” podhalańskim.

Słowacja

RUDOLF DILONG

## Przed wyjazdem

Wyrósł syn  
jak jodła.  
Gotowe.  
Na drogę do Francji  
twardy matczyń palec  
całował krzyżem czoła.  
We włosach lzy ojcowe.

Tego gronie nie widziały.  
Świat gór  
w łzach cały.

We wsi krwią broczy pole.  
Ach, co z nim będzie  
wróci za dwie — trzy niedziele?  
Okna zaczerniły wrony.  
Rozhulał się wiatr

Boże, dobry Boże,  
spójrzyj na dół z nieba,  
kiedyś dał w garść noże  
dajże nam i chleba.

przełożył Antoni Brosz

FRANTISZEK HEZCKO

## Nad matką

Nasz dom już nie ma duszy,  
w piecyku ogień nie pionie...

z łakomych ojczenaszów  
kościelnych żebraków  
unosi się krztuszący dym.

Nad garstką biednych kości,  
nad krzyżem biedny,  
gorące lzy leją  
woskowe gromnice.

Nasz dom już nie ma duszy,  
w piecyk staroświecki,  
wyschły korzeń latorośli,  
nie ma kto dorzucić...

Książkę do modlitwy  
różaniec ze Szasztina  
związały ręce.

Nasz dom już nie ma duszy,  
matula pomarli...

przełożył Antoni Brosz

Jugosławia

J. MAMUZIC

## Oraczowi

Nigdy nie przejdzie się zadowolenie  
przez nasze sioła —  
jak wietrzyk ciepły, który lica pieści.

Milczą brunatne, słwe, mokre pola,  
wyżyna widna i las mgłą spowity,  
daleki jak życie za twoją źrenicą.

Pójdź na oranie, wcześnie, chwyć plug  
w dłoń.

Zlecają się głodne na bródzie trawienie,  
tak jak spadały na nią w czasy owe,  
które już były i co będą jeszcze.

Kruszy się moc twa i moc twoich koni  
Ileż to razy tę pieśnią oracza?  
Ileż to koni niwę tę deptało?

Kurczy się robak plugiem przekrojony,  
czerwono-nogi bocian się przechadza,  
rumiany zachód nad lasem się pali.

Nigdy nie przejdzie się zadowolenie  
przez nasze sioła —  
jak wietrzyk ciepły, który lica pieści.

przełożył Stanisław K. Papierkowski

MIL. M. MILENKOWIC

## Wiesniak

Przywiózł dziś rano żywności w brum,  
— od lat najmłodszych tę pracą żył:  
Wołam! wraca z miastą bez sili,  
chleba i mięsa pełen był gród!

Za marne grosze zbył towar wnet:  
Starczyło ledwie na sól i łut;  
nóż wyszczerbiony wetknął za but,  
podarł gunką przystąpił grzbieł.

Lipcowy upał pali jak żar;  
wół jeden ryczy, pies szczeka radi  
ciężar nieznośny na duszy siadł,  
pot spływa z czoła brudny jak smar.

W kurzu, jak groźba, chwije się róg,  
wóz się przechyła z boku na bok;  
chłop stąpa wolno, za krokiem krok,  
ale uchwytyny jak prawda, Bóg!

przełożył Stanisław K. Papierkowski



STEFAN BAŚCIK

# Chłopska młodzież akademicka

## w przedwojennym życiu organizacyjnym i społecznym\*

Idealizm społeczny, rozbudzone przez gorącą atmosferę życia organizacyjnego na wyższych uczelniach zainteresowania społeczne, gospodarcze i polityczne wciągają młodych studentów ze wsi w wir życia organizacyjnego.

Wybór organizacji zależy będzie od wielu czynników, o których już nieco wspomnieliśmy. Dużą rolę odgrywa tu również przypadek. Młodzież chłopska wstępując na uniwersytet jest przeważnie ideowo nie wyrobiona, ale za to dzięki swemu młodemu wiekowi bardzo sugestywna. Łatwo więc ulega sugestii słów, hasel, frazesów itp. Moment ten wykorzystują organizacje, rozrzucając różnego rodzaju ulotki, urządzając manifestacje itd. Zależnie też od większej lub mniejszej sugestywności hasel, większej lub mniejszej krzykliwości takiej, czy innej organizacji, wstępująca na uniwersytet młodzież zostaje wciągnięta do takiego lub innego ruchu, często zresztą przypadkowo.

Zapisanie się do takiej czy innej organizacji zależne jest również nieraz od „koniunktury” danej organizacji i związane z tym większą możliwością korzyści materialnych. Stąd np. taka zacięta walka o „Bratniak”. Organizacja posiadająca w swym ręku Bratnią Pomoc, ma w swym ręku również nie mały atut przy swej propagandzie. Co prawda efekty to tylko liczbowe i powiększenie balastu organizacyjnego. Ale sugestywność liczby robi swoje. W dodatku mamy wypadki, że z tych przypadkowych, „koniunkturalnych” kandydatów wyrabiali się nieraz czołowi działacze organizacyjni.

Przy wyborze organizacji należy również uwzględnić wpływ światopoglądu filozoficzno-religijnego, ustalonego czy to pod wpływem studiów uniwersyteckich, koleżeńskich, czy też poglądów, przyswojonych w gimnazjum, ze wsi. Należy tu więc wziąć pod uwagę atmosferę ideologiczną gimnazjum, strukturę światopoglądową i organizacyjną wsi, następnie tradycje nurtujące w starszym społeczeństwie, z którym dotychczas ta młodzież się spotykała.

Te ostatnie np. czynniki, a więc atmosfera gimnazjum, struktura światopoglądowa i organizacyjna wsi i niektóre prądy ideologiczne starszego społeczeństwa wpływają na to, że znaczny odsetek młodzieży chłopskiej zapisuje się do organizacji katolickich, czy nacjonalistycznych.

Ze katolicyzmem jest dla młodzieży chłopskiej pewnym kryterium w wyborze organizacji ideowej, to rzecz całkiem zrozumiała. Wychowana w środowisku nawiąskowości religijnym, w środowisku, którego życie religijne, ujęte w ramy najróżnorodniejszych obrzędów i praktyk, jest bardzo żywe i stanowi integralną część życia człowieka — wychowana w takim środowisku młodzież chłopska bardzo często wstępuje już w latach gimnazjalnych, a następnie uniwersyteckich do organizacji o programie katolickim. Silnie rozwinięta na terenie województwa krakowskiego Akcja Katolicka wciąga również w swe szeregi chłopską młodzież kształcącą się od najmłodszych lat.

Organizacje o pokroju nacjonalistycznym przyciągały młodzież wiejską burliwymi i błyskotliwymi wystąpieniami, stanowiącymi bardzo silną atrakcję dla młodych studentów. Dlatego też „manewry jesienne” przynosiły pożądany wynik. Wśród zdobywców nieraz można spotkać i syna chłopskiego. Poza tym „konik antyżydowski” (przyjęte na ogół określenie), na którym te organizacje „jeździły”, był nie mniejszą atrakcją, tym bardziej że dużą rolę odgrywało tu starsze społeczeństwo, a w znacznej mierze i szkoła średnia.

Grono profesorskie średnich szkół było na ogół konserwatywne. Wpływ całej szkoły, czy poszczególnych profesorów można było często zauważyć. Jeżeli idzie o sprawę antysemityzmu w szkolnictwie średnim, to znaczny wpływ odgrywało tu starsze społeczeństwo, z którym młodzież gimnazjalna się stykała — to raz. Poza tym zorganizowana działalność organizacji pozaszkolnych na terenie szkolnictwa średniego go była faktem na ogół znanym.

Nie też dziwnego, że ulegając takim wszechstronnym i długotrwałym wpływom, młodzież gimnazjalna, a między nimi i chłopska, nasiąkała hasłami i postawami tychże organizacji i wciągała się do nich.

W dodatku łatwa strawność programu gospodarczego i społecznego tych organizacji, łatwość zrozumienia filozofii straganu polskiego („Dąbrowska „Rozdroże”) była nie mniejszą atrakcją dla młodzieży akademickiej, szczególnie początkującej, nie otrząskanej jeszcze z zagadnieniami skomplikowanego życia gospodarczego i społeczno-politycznego.

Te wszystkie momenty, oraz inne jak „monopol” na katolicyzm powodowały to, że pewien odsetek młodzieży chłopskiej na uniwersytecie szedł w szeregi organizacji o charakterze narodowym, nacjonalizującym, względnie był ich zwolennikiem.

Poza wymienionymi momentami, a więc gospodarczymi i rasowymi (Żydzi) oraz religijnymi, na skupianie się młodzieży chłopskiej w organizacjach prawicowych dotychczas się jeszcze inne momenty, związane zresztą z poprzednimi. Należy tu znany konserwatywny wsi, obawa przed nowością, przed jakimkolwiek mniejszym lub większym radykalizmem, który zalał się z różnymi dawnymi utartymi tradycjami, pojęciami, wierzeniami, autorytetami, a nie, był na wsi „skończony”. W ten sposób hamowało się i tłumilo w zarodku działalność organizacji czysto wiejskich. Dając konkretny przykład, w ten sposób zwalczało się na terenie woj. krakowskiego działalność Związku Młodzieży Wiejskiej, „Wici” i Związku Młodej Wsi „Siew”. W walce tej nie wybierało się w środkach, działaczy tych organizacji pomawiano się o komunizm, szkalowało ich sławę, rzucając na nich ohydne nieraz oszczerstwa, jak niemoralne prowadzenie się itp.

Dla przeciwdziałania prowadziło się silnie rozwiniętą Akcją Katolicką. Na terenie młodzieżowym KSM-y (Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży) wychowywały młodzież w duchu konserwatywnym. Wciągały one bardzo często w swe szeregi młodzież kształcącą się.

Wychowana w takiej atmosferze młodzieży chłopska, nie stykając się najczęściej na terenie gimnazjum z prądami przeciwnymi, przyszedłszy na uniwersytet, szła tam, gdzie ciągnęło ją i przyzwyczajenie i poglądy — zresztą jeszcze nie skryształizowane, szukała organizacji katolickich, prawicowych. Unikala natomiast i z góry negatywnie ustosunkowywała się do wszelkich organizacji postępowych, między nimi również do organizacji chłopskich.

Wpływ powyższych czynników osłabiają względnie całkowicie neutralizują inne czynniki. Młodzież chłopska przyjeżdżając na studia wyższe, styka się również z innymi prądami społecznymi: lewicowymi, postępowymi, demokratycznymi, radykalnymi. Ogólna często radykalizacja psychiki tej młodzieży, na skutek fatalnych warunków materialnych wywołuje w niej pewien rewizjonizm swych poglądów i podatność na wpływy prądów postępowych i skierowuje ją w szeregi organizacji postępowych.

Często zmiana światopoglądu filozoficzno-religijnego pod wpływem studiów, lektury, czy otoczenia zmusza tę młodzież do przekreślenia dotychczasowej tradycji i szukania organizacji, które by te nowe poglądy potwierdzały lub przynajmniej tolerowały i znów przychodzi do organizacji postępowych.

Pewne szanse, płynące z przypadku posiadają nie tylko organizacje prawicowe ale i lewicowe.

Czasem, choć na terenie woj. krakowskiego rzadziej, młodzież chłopska przychodzi na studia wyższe już wyrobiona ideowo w organizacjach postępowych — chłopskich czy robotniczych i wciąga się zaraz do organizacji o tym pokroju.

W rezultacie oddziaływania tych różnych czynników, spotykamy młodzież chłopską w uniwersyteckich organizacjach ideowych — prawicowych o ideologii konserwatywnej, zachowawczej, nacjonalizującej czy katolickiej, oraz lewicowych o programie postępowym.

Nim przystąpimy do ilościowych danych, przyglądnijmy się bliżej ważniejszym organizacjom obu tych bloków ideowych.

A więc blok organizacji prawicowych. Najbardziej ruchliwą organizacją tego bloku była ostatnio „Młodzież Wszechpolska”, jako przedstawicielka prądów nacjonalistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Swymi hasłami unarodowienia gospodarstwa społecznego, a szczególnie hasłami walki z Żydami ściągała ona w swe szeregi pewien odsetek młodzieży chłopskiej. Liczniejszą natomiast, choć mniej ruchliwą organizacją tego bloku była „Sodalija Marianańska Stud. U. J.”, do której młodzież chłopska ze względu na tradycje rodzinne i gimnazjalne dosyć licznie się gromadziła.

W bloku tym znajdowały się również inne organizacje o programie katolickim jak „Odrodzenie” i „Akademicki Związek Promienisty” — organizacje już mniej liczne.

Wreszcie należy tu wymienić różne korporacje studenckie, organizacje wybitnie konserwatywne, grupujące prawie wyłącznie burżuazyjną młodzież ziemianką i przemysłową. Ze względu na znane zbyt szumne życie w tych organizacjach udział młodzieży chłopskiej jest w nich prawie żaden. Czasem tylko wyjątki w nich się zaplaczają.

Temu blokowi przeciwstawiła się druga grupa organizacji ideowych — t. zw. lewica. Najważniejszą rolę — przynajmniej w czasach, które opisuje — odgrywał tu „Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej” (ZPMD). Zrab ideowy organizacji stanowił w dziedzinie gospodarczej syndykalizm, zbliżony do syndykalizmu francuskiego. Sorela, zwalczający ustrój kapitalistyczny i głoszący uspołecznienie posiadania warsztatów pracy, formę przejściową w procesie uspołecznienia stanowił powinną szeroko rozbudowaną spółdzielczość. W dziedzinie społecznej i politycznej organizacja ta domagała się równouprawnienia dla warstw pracujących. Praca ma być jedynym sprawdzianem wartości człowieka.

Organizacja o pokrewnej ideologii, w której udział młodzieży wiejskiej był dosyć znaczny, był „Legion Młodych”. Organizacja ta o dużym początkowo dynamizmie, z powodu jednak rozłamu wkrótce prawie że zupełnie zawiesiła swą działalność.

Do „lewicy” należał również „Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej” o programie socjalistycznym. Udział młodzieży chłopskiej w tej organizacji był na ogół mniejszy.

Wreszcie do większych organizacji „lewicy” należy zaliczyć akademickie organizacje chłopskie, a więc „Polska Akademicka Młodzież Ludowa” (PAML — powstała w r. 1923) oraz Akademicki Związek Młodzieży Wiejskiej (powstał w r. 1934, w r. 1937 zmienił swą nazwę na Akademicki Związek Młodej Wsi). Obie te organizacje stanowiły niejako sekcje akademickie organizacji młodzieżowych, działających na terenie wiejskim, a mianowicie Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici” i Centralnego Związku Młodej Wsi „Siew”. Poza momentami politycznymi zasadniczych różnic między tymi organizacjami nie ma. Obie te organizacje, założone i prowadzone przez młodzież wiejską, chłopską, są właściwie wyrazem dążeń akademickiej młodzieży chłopskiej. Ideologia, program gospodarczy, społeczny i polityczny tych organizacji, ukute w gorących dyskusjach, świadczą o ideałach społecznych i gospodarczych tej młodzieży w ostatnich latach. Ruch bowiem chłopski na Uniwersytecie Jagiellońskim jest ruchem młodym, niemniej jednak dynamicznym. Może nie był on tak głośny w murach uniwersyteckich, energię swą bowiem młodzież zorganizowana w tych organizacjach skierowywała na pracę konkretną na wsi — w Kołach Młodzieży Wiejskiej.

Tak PAML jak i AZMW głoszą w dziedzinie gospodarczej agraryzm i kooperatywnizm, zaś w dziedzinie społeczno-politycznej walczą o dopuszczenie chłopów do szerszego udziału w dobrach kulturalnych i współgospodarzeniu państwem.

Bloki te — lewica i prawica — były na uniwersytecie dosyć wyraźne i różnice między nimi uwydatniały się jeszcze bardziej w ważniejszych momentach życia akademickiego jak np. walka o opanowanie Bratniej Pomocy.

Pomiędzy tymi blokami znajdowało się niejako centrum — Akademicki Oddział Związku Strzeleckiego, liczący w r. 1936-7 — 125 członków, organizacja prorządowa, w wystąpieniach zewnętrznych idąca przeważnie wspólnie z organizacjami lewicowymi. Udział młodzieży wiejskiej był w niej dosyć znaczny (przyuszczalnie ze względu materialnych).

Ilościowo dane za r. 1937 przedstawiają się następująco:

ORGANIZACJA IDEOWA	Łączna liczba członków	Młodzież chłopska	% młodzieży chłopskiej	Razem młodzieży chłopskiej	Łączna liczba młodzieży chłopskiej
Zw. Polsk. Młodz. Demokratycznej	170	40	23,5	42	74
Akad. Zw. Młodej Wsi	65	42	64,6		
Polska Akad. Młodz. Ludowa	44	31	68,0	31	93
Akad. Zw. Pacyfistów	24	2	8,3	1	
Legion Młodych	7	?			
Zw. Niezależ. Młodz. Socjal.	7	?			
Akadem. Oddz. Zw. Strzel.	125	20	16,0	19	
Sodal. Marianańska St. Uniw. J.	231	35	15,1	55	71
Młodz. Wszechpolska	195	22	11,2		
„Odrodzenie”	44	6	13,6	6	
Akad. Zw. „Promienisty”	45	12	26,6	12	
Korporacja „Lauda”	25	1	4,0	1	
Korp. „Palestra”	—	—	—	—	
„Constantia”	—	—	—	—	

Odpowiadający na ankietę należeli do następujących organizacji ideowych (bez studentów teologii):

Zw. Polskiej Młodz. Demokrat. 7, Polska Akad. Młodzieży Ludowa 2, Akad. Zw. Młodej Wsi 7, Sodalija Marianańska 8, Związek

Promienisty 1, Odrodzenie 1, Koło Misjologiczne 1, Korporacja 1, nie należy 5, nie odpowiedziało 5.

Jak wykazują powyższe zestawienia, młodzież chłopska jest zgrupowana w organizacjach lewicowych i prawicowych mniej więcej w równych ilościach. Należy tu jednak zrobić zaraz poprawkę na korzyść organizacji postępowych przez doliczenie pewnej ilości młodzieży chłopskiej (około 20-25) zorganizowanych w Legionie Młodych i w Zw. Niezależ. Młodz. Socjalistycznej. Ponadto duch centrowego Zw. Strzeleckiego jest bliższy lewicy, niż prawicy, co można było stwierdzić choćby w wystąpieniach zewnętrznych. A więc poprawka szłaby jeszcze na korzyść lewicy.

Uderzającym jest również to, że żaden z odpowiadających na ankietę nie należał do „Młodzieży Wszechpolskiej”, chociaż dużo wśród nich było sympatyków kierunku narodowego, a i samej młodzieży Wszechpolskiej. Bliższa analiza wykazuje, że jest to następstwem sympatii politycznych członków Sodaliji Marianańskiej.

Nasuwa się z kolei pytanie, jaka młodzież chłopska pod względem typu, aktywności, ekspansywności grupuje się w organizacjach prawicowych, względnie lewicowych. Pewnym wskaźnikiem pod tym względem będzie zajmowanie przez tę młodzież różnych funkcji w poszczególnych organizacjach.

W r. 1936-37 dane te przedstawiają się następująco:

Sodalija Marianańska 2 członków Zarządu, Młodzież Wszechpolska 1 członek Komisji Rewizyjnej, „Odrodzenie” 2 czł. Kom. Rew. (przewodn. i czł.), Akad. Zw. Promienisty 4 czł. Zarządu (prezes, wiceprezes, sekretarz, skarbnik), Korporacja „Lauda” — 1, Korporacja „Palestra” — 1, Korporacja „Constantia” — 1, Zw. Pol. Młodz. Demokratycznej 7 członków Zarządu (prezes, wiceprezes, skarbnik, 4 członków), 2 czł. Kom. Rew. (przewodn. i człon.), Akad. Zw. Młodej Wsi cały Zarząd i Komisja Rewizyjna, Polska Akad. Młodz. Ludowa cały Zarząd i Komisja Rewizyjna, Akad. Zw. Pacyfistów wiceprezes i czł. Kom. Rew., Związek Strzelecki 1 członek Zarządu.

Z zestawienia widzimy, że np. w Sodaliji Marianańskiej na 35 członków ze wsi, tylko 2 członków należy do Zarządu, w Młodzieży Wszechpolskiej na 22 członków ze wsi ani jeden nie piastuje funkcji w Zarządzie, a tylko jedna osoba jest zwyczajnym członkiem Komisji Rewizyjnej. Podobny układ można było spotkać i w poprzednich latach — wyjątkowo tylko spotykamy nazwiska chłopskie w listach członków Zarządu.

Wreszcie przeciwnie przedstawia się sprawa w organizacjach lewicowych. Tak np. Zarząd ZPMD prawie całkowicie opanowany jest przez młodzież chłopską. Tak też było i w poprzednich latach. Młodzież chłopska przez cały szereg lat zajmowała najważniejsze funkcje w tej organizacji, stanowiła trzon tej organizacji, nadawała jej charakter i oblicze. Wychowana w tej organizacji młodzież chłopska szła następnie na tzw. tereny zewnętrzne do innych organizacji czy to ideowo pokrewnych, czy samopomocowych, czy wreszcie naukowych i tam zajmowała wybitne stanowiska, często stanowisko prezesa. Organizacja ta uchodziła przez cały szereg lat za organizację prezesów — tymi prezesami byli najczęściej ludzie ze wsi.

Znaleźmy też wybitnych członków Legionu Młodych — ludzi ze wsi.

O organizacjach wiejskich na U. J. a więc PAML-u, czy AZMW nie potrzeba mówić. Wszystkie stanowiska w Zarządzie — a przynajmniej najważniejsze — spoczywały w rękach chłopskich.

Utarła się też na ogół opinia, że młodzież bardziej aktywna, samodzielna i ekspansywna idzie przeważnie do organizacji lewicowych, gdzie wybija się wkrótce na pierwsze miejsca. Młodzież zaś mniej aktywna, o większych inklinacjach do życia zamkniętego, religijnego, idzie znów do organizacji katolickich czy zachowawczych. Nie zajmuje też tam wybitniejszych stanowisk.

\* Pierwsza część „Wiesi” nr. 15/16 (43-44)

„WIEŚ” Nr. 17 (45) ZAWIERAŁ:

Uniwersał Polański (tekst)  
Kazimierz Stępnik — Tragizm Insurekcji; Józef Andrzej Frask — Jan Marcin; Jan Marcin — Bieńkowanie radzą; Stefan Kosela — Dbajmy o pamiętki po Kościuszcze; Tadeusz Graca — Mój Kościuszko; Piotr Wyrobek — Ewolucja myśli powstańczej Kościuszkowej; Stanisław Paleczny — W rocznicę kościuszkowską; Adam Polańczyk — Tradycje łagodnej rewolucji; Piosenki anonimowe z Powstania Kościuszkowskiego; Do broni! — Śpiew włościan Krakowiaków 1794 — Śpiew kosynierów krakowskich — „Dyspozycja komendanta Głowackiego Bartosa” — Kosynier i skowronek; Tadeusz Papier — Maj 1945 rok; Jan Bolesław Ożóg — Wiersz partyzancki; St. M. — Wokół Konstytucji 3 Maja; Józef Pogan — Rodzina Ciemnych; Leon Sobociński — Jakub Szela i Jarema Wiśniewski oraz noty i ogłoszenia, 6 ilustracji, 8 stron.



TEODOR GOZDZIKIEWICZ

## WYŻYNKA

(FRAGMENT)

Ciżba ludzka dworskich sług, fernali i robotników zajęła wysunięty ganek, kilka szerokich schodów cementowych i cały brukowany obszar przed pałacem. Ramię przy ramieniu — głowa przy głowie. Kobiety z sierpami, dółki ze skopkami. Robotnicy z kosami, fernali z batami. Tu piąg i radio, tam brona i żniwiarka z drugiej strony. Muzykanci pobok, jacyś osobliwi i apatyczni. Trochę też przypieci.

Dzieci ciekawe, roześmiane i zachwycone cisną się między starszych. Niektóre z nich pierwszy raz oglądają zbliżoną białą ścianę wysokiego dworu. Przedtem gonili ogrodnika, przepędzali lokaja, straszliwy stróż nocny, przereżał sfory psów wylegujących się na kłombach. Teraz można. Dziś się wolno. Wszystko się cisnie i przepycha.

Wyszli właśnie przed chwilą sprzed koszar okrażliwi tłum i gromada z muzykantami zaszli przed dwór. Przdowdnica biała ubrana, cała we wstażkach niosła z nabożeństwem swój wieniec na talerzu przed sobą. Spoczną z przejęcia i drżącą, bo pierwszy raz w tym roku przypało jej przdować kroczyła na czele gromady otoczona dziewczkami.

Władka z Józka trzymały się za ręce i postępowali obok przdowdnicy krytykując wszystko od wstażki na głowie do pończoch na nogach. Uwagami dzieliły się na ucho dyskretnie.

— Patrz, nawet laktierki ma nowe...  
— Phy, bo to ona kupiła — pewnie ma od pisarza...

Zazdrość żarła im serca, a jednocześnie uśmiechnięte twarze zwracały tu i tam: raz ku dziewczynom, raz ku chłopakom.

— Ta wstażka różowa mogłaby być węższa...

— O, i ta zielona u pasa niepotrzebna, tylko fruwa...

— Ba, przecie przdowdnica...

Doszli wreszcie przed ganek i oblepili gromadnie cały front. Muzykanci na harmonii, skrzypcach, klarnecie i z bębniem zabrzęcali mocno hałaśliwie jakiegoś przedpotopowego marsza.

Malowane na brązowo drzwi otworzyły się w pewnej chwili szeroko. Wyszli dziedzic, dziedziczka, dwaj „panioki”. Za nimi rządca — stary kawaler, pisarz prowentowy — stary kawaler, na końcu stanęli borowy i lokaj — starzy kawalerowie.



rys. T. Zarzycki

Muzyka urwała. Przdowdnica postąpiła trzy kroki, weszła na pierwszy stopień schodów, podniosła przed się wieniec wyżej i krzykliwym, ćwiczonym przez miesiąc, trochę drżącym głosem zawiodła:

„Niesiemy tu plon  
W jaśnie pana dom,  
Żeby dobrze plonowało,  
Po sto korcy z mendla dalo,  
A z mendla dalo”

Tę zwrotką otworzyła śpiew. Odwzajemnie to samo: pokornie, skromnie i nieświeżo. Pstra ciżba dworsów i wyrobników, dzieci — wszystko słucha popisu z zajęciem i cicho: pomylił się jej też czy nie pomylił? Muzykant w strunę brzdąknie cichutko — ledwo dosłyszalnie, ktoś kaszle i w poczuciu wysokiej uroczystości chwili splunął na siebie sąsładowi pod nogi.

A przdowdniczka śpiewa i śpiewa. Najpierw ośpiewywa „jaśnie pana”, „jaśnie panią” i „panioków”. Że to mają już

w stodołach, brogach i stertach kłosa — zło to. Że to mają moc wonnego siana. Że to po legach i trawnikach biegają żrebaki-sokoły. Że to grusze i jabłonie łamią się pod masą owocu. Że to wszystko dał im dobry Bóg.

Potem każdego oddzielnie ku niższym funkcjom.

Władka z Józka stanęły obok przdowdnicy i słuchały śpiewu. Widziały jej twarz błądzą z emocji i sperloną potem, oczy wbite w ziemię a nie w dziedzica i jak po każdej zwrotce prześpiewanej jednym tchem szybko lypała nowietrze. Przypadły o niej to i tamto szeptem — złośliwie a szyderczo.

Przdowdnica zanuciła właśnie:

„A naszemu borowemu  
Damy pół ryby,  
A bo on chodził po boru  
I zbiera grzyby”.

„A naszemu połowemu  
Damy pół żaby,  
A bo on chodził po polu  
I gonil baby”.

Józka przeniosła wzrok poza dziedzica i mimowoli zaczęła szukać twarzy ośpiewanych, gdy uderzyły ją wpite w nią źrenice zielonych oczu rządcy. Najpierw struchlała jakby popełniła jakieś przestępstwo i uczyła się złapaną na gorącym uczynku. Zwróciła oczy ku przdowdnicy, rzuciła nimi niespokojnie po kilku twarzach i nie wiedziała, co z nimi zrobić, bo na nic się zdało to wszystko: zielone oczy rządcy goniły za nią, były niepozbyte.

Potem jej się gorąco zrobiło na myśl, że może ją wczoraj poznał w nocy podczas ucieczki spod jego okna. Ale przecież złapał wtedy Władkę. Więc to jest nic. Ale i tak uczyła pot na końcach palców, a twarz zapiekła ją ogniem. Może Władka ją wydała? Zaczęła się bać.

A przdowdnica ciągnęła:

„A za dworem za okienkiem  
Rosną żegawki —  
Idzie kucharkę od kuchnia, k  
Niema nogawki”.

Ośpiewawszy resztę walców podwórzowych, leśnych i polnych zakończyła pieśń pokornym życzeniem zabawy i tańca i oddała wieniec w ręce dziedzica, jakby dając tym samym znak wręgnięcia siebie i tej całej gromady ludzi w jarzmo całorocznej niewoli i pracy:

A dokoła mój wianeczeku, dokoła,  
A niech będzie nam zabawa wesola,  
A niech się nam nasz jaśnie pan nie smuci,  
Po trzy ruble na wianeczek wyrzuci,  
A niech się nam ta wyżynka nie kończy,  
A jaśnie pan obereczka zatńczy”...

Muzykanci urzęni oberka. Dziedzic poprosił przdowdnicę do tańca w przedpokoju.

— Na to tylko reszta czekała. Skoczyli jak żbiki „panioki” łowić dziewczęta. Ogrodnik poprosił dziedziczkę, pozostali podzieliли się jak mogli. Każdy pchał się gwałtem potańczyć razem z dziedzicem w przedpokoju pałacu. Władkę zabrał pisarz, a kiedy Józka podniosła wzrok ujrzała rysie oczy rządcy, jak zbliżał się przez tłok ku niej. Cała zadygotała. Doszedł, coś mruknął i nachylił się ku niej poufale. Uderzył ją ostry zapach wódki. Chwył jej rękę łapczywie, twardo i pociągnął do tańca.

Ledwo się już zmięśli w ciasnym przedpokoju. Muzykanci mocno podcinałi oberka, a pary nie mogąc się już w natłoku obrócić chodziły jedna za drugą. Dziedziczka suty kok zupełnie się rozsypał i opadł bezwładny na plecy. Dziedzicowi nieźle zapocila się czupryna. Młode latorki pańskie energicznie odeptywały dziewczkom nogi. Tłok robił się coraz większy i coraz gęstsza duszność, choć drzwi całe otworem stały, bo nowe pary wpychały się wciąż uparcie i kręciły zajądła, a okna i drzwi do pokojów oblepili ciekawscy.

Tańcząc a właściwie podreptując noga za nogą w takt wściekłego oberka, Józka

czuła, jak mocno trzyma ją rządca przy sobie. Obejmował ją prawą ręką krzepko za biodra i cisnął do siebie, aż się wstydzila, a lewą uchwyciłszy za kiesz daleko wyprostowaną trzymał. Sięgając mu drugą dłonią do barku położonego tak wysoko zdawało się jej, że jest na nim całym rozkrzyżowana.

Było ją trochę wstyd — ten zaduch przedpokoju, ten zapach wódki od rządoy nachylonego ku jej twarzy. Ten rządca ścisną tak mocno. Ale tłok i ogniste potracające się pary dodawały jej stopniowo odwagi.

— Żeby tylko matka nie widzieli... — kłopotce się sama w sobie.

Wreszcie muzykanci urwali — byli zgrzani, zmęczeni, czerwoni. Ludzie sprzed ganku rozchodzili się szybko, bo przed śpichrzem rozdawać zaczęto wódkę, piwo, owoce-parszywki i chleb z miodem. Kłęto, przepychano się, pluto i pito z hałasem, śmiechem i brzękiem. Przybliżyli się też tu muzykanci i pary taczając się poważnie zaczęły tańczyć na trawie.

Rządca nie odstępował Józki na krok. Z przedpokoju trzymając ją za rękę zaprowadził przed śpichrz i uławił korzystanie z dobrodziejstw wyżynkowych dnia. Napiła się wódki, piwa, zjadła trochę chleba z miodem. Zaczęli też zaraz tańczyć. Wódka ją Józkę rozbiterała. Uczuła jakiś ciężar głowy i dziwne chybotanie całego ciała jakby nie miała kości. Jednocześnie widziała jakby ostrzej i robiła się odważniejsza. Kiedy rządca nadto opierał swoją głowę o jej twarz, uwolnioną rękę odpychała go bezceremonialnie.

— Józku, Józku — powtarzał z uporem pijanego — Józka, dlaczego mnie od siebie odychasz? co, dlaczego? powiedz, Józka — i tak w kółko.

Robiło się coraz później. Słońce zaszło za wał granatowych chmur ustanych na zachodnim skrawie widnokręgu. Lekko zapadał szary zmrok. Gwar pijanych nie ustawał, ale im robiło się ciemniej, tym wzrastał swobodniejszy i dzikszy.

Józka z rządca powtórzyli kolejkę wódki, piwa i chleba z miodem jeszcze ze trzy razy. Pary już właściwie nie tańczyły, a taczaly się niepewnie. Tu i ówdzie wywrócono się — coraz częściej. Wybuha śmiech i ryki. Muzykanci rzępolą hałaśliwie i fałszywie: zalewa ich wódka.

— Józka, dziewczynko słodka, Józku, chodź, odpocznijemy na trawie, chodź, pięć minutek tylko, nie więcej, tylko pięć minutek... — szeptał jej w ucho bezładnie rządca raz po raz bekojąc pijacko.

Opierała się coraz słabiej, kiedy ją ciągnął w głąb sadu. Czemu ta Władka tak się tu kręci jakby na złość? O co jej chodzi? Czyżby ją podpatrywała? A niech patrzy — myśli odważnie Józka i idzie — żeby tylko tu matka gdzie nie było...

Wokół działo się to samo. Pary stały tu — tam na trawnikach i słycać było szelmowskie chichotanie. Od śpichrza dołatywał pijacki śpiew:

„A szeptał ji koło ucha,  
A macoł ją koło brzucha — ha ha ha!  
ha ha ha!”

„Panioki” już od dawna gdzieś zniknęli. Wysłany przez dziedziczkę lokaj stwierdził zawsze przed nią, że panicz najwzrorowiej się bawia, nadając całokształtowi rozrywki kulturalniejszą ton, bo każdy się przy nich więcej poczuwa i liczy:

— Panicz Edward wywija aż miło, a i panicz Zenon nie zostaje w tyle... Ino huk a z gracją, z wdziękiem, tak, proszę jaśnie pani, właściwym ludziom dobrze urodzonym i dobrze wychowanym...

— No, niech się bawia, jeszcze pięć minut. Ale niech Antoni pilnuje, żeby się nie oddalali od miejsca zabawy, bo byłoby to pyskowanie, że broń Panie Boże... — uspokajała swoje obywatelskie sumienie dziedziczka.

— A nie, to nie możliwe, proszę jaśnie pani...

Zapadła głucha noc. Ciemna, bezgwiazd na noc sierpniowa, lekko przesycona mgłą. Zwolnita ona jednocześnie bawiących się z resztek jakiegoś takiego skrepowania. Swoboda zapanowała w całej pełni. Dzi-

kie ryki, nieludzkie wrzaski, wyuzdane chichoty, głośne rzygania przepitych i harmider rozlegały się od poszczególnych krzaków.

Muzyka rzępoliła siarczyscie a pijacko. Józka z rządca siedzieli na orosiałej trawie w głębi ogrodu. On robił się coraz natrętniejszy i zabierał się do całowania. Józka broniła się resztkami opadających sił i woli. Raczej z dziwnego wstydu przed samą sobą, niż dla jakiegokolwiek bądź zasady. Słabła przy tym pijanym drabie cielesnym, którego żelazne łapy stawały się tym mocniejsze, im bardziej ona słabła — a nie miała dość odwagi, by odejść.

— Ale z pana też świnią, no... — rzucała mu w pijaną twarz, kiedy szukał ręką brzegu jej sukienki.

Nie mówił nic.

Dziedziczka wpadła na wracającego lokaja:

— Antoni! gdzie panicze, proszę ich do domu natychmiast!

Sklamął gracko na oczekaniu — stary lokaj:

— Proszę jaśnie pani, panicz Edward i panicz Zenon wspólnie poszli się kąpać, bo mówili, że są zakurzeni i spoceni. Właśnie mnie wystali po mydło i ręcznik.

— Ach, Boże, jak można, jeszcze się albo zajądzą, albo ich kurcz chwyci. Antoni, prędzej po nich!...



rys. T. Zarzycki

Lokaj flegmatycznie wchodził, zabierał mydło, ręcznik, owijał w papier, jak mu nakazywało jego zawodowe kłamstwo, i tłumaczył dziedziczce:

— Paniczom nic nie będzie, zdrowi są jak ryby, proszę jaśnie pani...

Awychodząc w mrok z paczką pod pachą i słysząc ze wszystkich stron pośmiechy i szepty kłął na wpeł głośno:

— Diabli tych byków wiedzą, gdzie się ta farchają...

Od czasu do czasu ponad ten rwetes zabawy rozlegał się ryk:

— Żeby was choroba podusiła, żeby ci ozór kółkiem stanął, bodajęś się udławił, złakrew!... Zehyś kulasy!...

To sadowy kłąt na parobków, bo mu trzęśli jabłka.

Noc zapadała głębsza i ciemniejsza.

## ZEBRANIE ODDZIAŁU WIEJSKIEGO ZWIĄZKU ZAW. LIT. POLSKICH

W dniach 25 i 26 maja br. odbędzie się w Warszawie zebranie Oddziału Wiejskiego Zw. Zaw. Lit. Polskich, na które przybędą pisarze chłopscy całej Polski.

W programie zebrania jest prócz wyboru stałych władz Oddziału szereg spraw bieżących o dużym znaczeniu.

Koszty przejazdu członkom i kandydatom będą zwrócone, wyżywienie w ciągu dwóch dni zapewnione. Uznanie zostało za członków Oddziału następujący pisarze: Burek Wincenty, Frasiak Józef, Andrzej, Król Jan, Aleksander, Kubicki Marian, Kubiniec-Nędza Stanisław, Michalski-Ozga Józef, Morton Józef, Olcha Antoni, Ozóg Jan, Bolesław, Młczarek Władysław, Pięta Stanisław, Pleśniarowicz Jerzy, Skoneczny Stanisław i Wiktor Jan — za członków kandydatów: Bińczak Józef, Bojar Józef, Goździkiewicz Teodor, Gębala Stanisław, Stefan, Jakubczyk Henryk, Jądzwiński Wiesław, Jucha Stanisław, Kirto-Nowaczyk St., Kafel Mieczysław, Łabuz Józef, Marzec Edward, Papier Tadeusz, Pocek Jan, Pogan Józef, Pokora Leon, Sierp Zygmunt, Sobieszek Janina, Urban Jan, Wrona Edward, Ziarnik Piotr, Stanisław, Czula Maciej, Kamieńska Anna, Greniuk Piotr i Bartłowski Lesław.

Tylko tym pisarzom przysługiwać będzie prawo głosu i inne uprawnienia, jak zwrot kosztów; inni pisarze mogą uczestniczyć w Zebraniu tylko jako goście.

Zarząd Oddziału Wiejskiego Związku Zawod. Liter. Polskich



Redakcja tygodnika „Wieś” w porozumieniu i ze współudziałem Wyd. Kultury przy Zarządzie Głównym Związku Samopomocy Chłopskiej

## OGŁASZA KONKURS

# na ludowy utwór sceniczny

### WPROWADZENIE

Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej, spełniając jedno z naczelnych zadań do jakich został powołany Związek, a mianowicie „podnoszenie poziomu kultury materialnej i duchowej wsi”, postanowił porozumieć się z redakcją tygodnika społeczno-literackiego „Wieś” celem ogłoszenia, w ramach akcji kulturalnej Związku, konkursu na chłopską sztukę teatralną.

Dotychczasowe próby zorganizowania życia kulturalnego na wsi wykazują, że teatr jest jednym z najistotniejszych i najpotrzebniejszych rodzajów pracy kulturalnej. Już przed wojną teatr ludowy odgrywał pierwszorzędną rolę zarówno w pracy samokształceniowej, dostarczając widzowi chłopskiemu przeżyć i wzbogacając jego świadomość, jak i w pracy organizacyjnej, stając się ośrodkiem skupiającym grupę wiejską do wspólnej pracy o charakterze bezinteresownym, społecznym, kulturalnym. Dowodzi tego wspaniały rozwój Instytutu Teatrów Ludowych, który siecią swoją objął najdalej zakątki Polski, tak że w jednym roku 1938 zdołał utworzyć sto tysięcy teatralnych zespołów ludowych, organizując przedstawienia, które oglądało nieomal dziesięć milionów widzów. Praca ta, sięgająca tradycji teatralnej, w Polsce wydanej i przez polskich autorów opracowanej, a liczącej blisko dziesięć tysięcy pozycji, obejmujących wszelkiego rodzaju instrukcje organizacyjne, podręczniki techniczne, utwory teatralne, śpiewniki, poradniki charakterystyki, tańca, muzyki — wśród nich znajdują się prace, które weszły na stałe już nie tylko do dorobku sceny ludowej, ale stały się pozycją naszej kultury narodowej, jak „Pastorka” L. Schillera i J. Maklakiewicza, czy „Wóz Drzymały” J. Raczkowskiego.

W warunkach powojennych, gdy wieś ma większe niż dawniej szanse rozwoju, na tle przeprowadzonej Reformy Rolnej, kolonizacji na zachodzie i nowych spółdzielczych form organizacyjnych, tworzonych przez Związek Samopomocy, wieś polska powinna osiągnąć nowe, doskonałe formy życia społecznego i kulturalnego. Nie może tutaj zbraknąć teatru, który do tradycyjnej swojej roli powinien dodać nowe elementy, nowe obowiązki społeczne i niepomniernie rozszerzyć tematykę i zakres działania. Teatr ludowy w nowej Polsce powinien stać się zasadniczym czynnikiem podnoszenia się społecznego i kulturalnego; dać pole utalentowanym jednostkom, organizować świadomość nowoczesnego chłopca, umacniać więź społeczną przez wspólne realizowanie nowych zadań kulturalnych, wybijających się przed chłopem — obywatelem ludowej Polski.

Najpoważniejszą przeszkodą w realizacji tych zamiarów jest brak nowej twórczości dramatycznej, dostosowanej do potrzeb teatrów ludowych, a jednocześnie posługującej się wartościowymi środkami artystycznymi i podejmującej zagadnienia aktualnego życia chłopskiego. By umożliwić częściowe przynajmniej zapalenie tej luki, Wydział Kultury ZSCh. i Redakcja tyg. „Wieś” ogłaszają konkurs na utwór sceniczny, wzywając wszystkich pisarzy, w pierwszym rzędzie chłopskich, do czynnego w nim udziału.

### ZASADY KONKURSU

Doświadczenia dotychczasowych konkursów na utwory świetlicowe i teatralne wykazują, że twórczość tego rodzaju nie jest obfita; dlatego organizatorzy konkursu postanowili rozszerzyć jego zakres, tak, by dać możliwość wzięcia udziału w konkursie najróżnorodniejszym utworom dramatycznym. Pierwszeństwo jednak, ze względu na palącą potrzebę społeczną, konkurs przynajmniej utworom przeznaczonym na scenę ludową, i odpowiadającym następującym wymaganiom:

1) Prostość środków technicznych. Utwór taki powinien być dostępny do realizacji prostymi środkami przeciętnej sceny ludowej. Nie powinien być duży rozmiarami tj.

nie powinien liczyć więcej niż trzy akty. Nie powinien zawierać licznych i skomplikowanych zmian dekoracji, nie powinien wymagać wielkiej ilości wykonawców. Również z punktu widzenia aktorskiego powinien unikać komplikacji i subtelnych odcieni psychologicznych, trudnych do oddania ludowemu aktorowi; powinien eliminować długie monologi i dialogi, tak, by tekst był łatwiejszy do przyswojenia. Te ułatwienia techniczne bynajmniej nie stoją w sprzeczności z możliwym bogactwem zawartości literackiej, — pięknym przykładem bogactwa, przy najskromniejszych środkach wykonawczych może być widowisko „O roku ów”, opracowane przez Eugeniusza Poredę i wydane w r. 1938 w Warszawie w Instytucie Teatrów Ludowych. Na ludowej scenie zdołał autor ukazać, w siedmiu kolejnych obrazach, walkę narodu polskiego o niepodległość, od Konfederacji barskiej, poprzez powstanie kościuszkowskie, rok 1812, 1830, 1863, 1905, aż do czasów najnowszych. Wystarczyły mu w tym celu proste elementy dekoracyjne i kostiumowe; widowisko wiązało odpowiednimi objaśnieniami i deklamacją drobnych wyjątków Husar, ubrany w skrzydła, z mieczem w dłoni, zjawiający się przed kotarą z początkiem każdego obrazu. Poszczególne sceny posługiwały się prostymi, symbolicznymi znakami dekoracyjnymi, które wyobrażały całą dekorację; kowadło oznaczało kuznię, w której gromadzą się kosynierzy, krzyż — obóz powstańców na polu, pod przewodnictwem księdza Marka itd. Podobnie proste, fragmentaryczne były kostiumy, gdzie jeden element wyobrażał cały strój, np. czako i broń oznacza żołnierza, peleryna — księdza, rogatywka i kosa — kosyniera, itp. W ten sposób teatr ludowy zdołał objąć kawał historii Polski, złożony z licznych scen; widowisko to bywało wykonywane w uprzątnej stodole, i nie traciło niczego z wewnętrznego bogactwa. Tak więc prostota środków bynajmniej nie ogranicza autora w czasie ani w przestrzeni; daje mu możliwość ukazać złożone zjawiska, dziejące się w przeszłości i na obcym terenie, a wcale nie zmusza go do zamknięcia się w jednej dekoracji, jednym pomieszczeniu, jednej chałcie. Podobnie posługując się niewielką ilością wykonawców, ukazywać ich może w coraz innych rolach, wprowadzając przez to wiele postaci, przy kilku ledwie aktorach. Tak więc postulat „prostoty technicznej” nie zmniejsza, nie ogranicza środków autora, a tylko je w specyficzny sposób organizuje.

2) Główny temat: współczesne zagadnienia społeczne. Drugim warunkiem, do którego przykłada się wagę organizatorzy konkursu, jest, by nowy dramat ludowy wprowadził do swojej tematyki główne zagadnienia aktualnej rzeczywistości, przede wszystkim chłopskiej, a dalej i ogólnonarodowej. Tę więc, lub tematem zdarzeń, które stanowią fabułę, powinny być społeczne zagadnienia: wojny, partyzantki, wyzwolenia, Wielkich Reform, w pierwszym rzędzie Reformy rolnej, kolonizacji Zachodu, organizacji nowego życia (praca spółdzielni, ZSCh, itd.). Jest to tematyka trudna, ponieważ nie istnieją dotychczas próby, któreby służyły przykładem, czy choćby mogły uchodzić za doświadczenie w tym zakresie. Istnieją co prawda dwa schematy, niejednokrotnie reprodukowane na scenie ludowej: żołnierski (przykład: „Jak kapral Szczapa wykiwał śmierć”), i spółdzielczy (Historia założenia kółka rolniczego, czy spółdzielczego, któremu sprzeciwia się pleban, czy wrogowie postępu wsi albo wiejscy awanturnicy; wreszcie, po wielu kłopotach, udaje się przewyciężyć trudności), ale wartość artystyczna tych szablonów dramatycznych jest niska, i trudno je zalecać. Najtrafniejszą drogą będzie zapewne inscenizowanie zdarzeń, w ich rzeczywistym przebiegu, bez dorabiania sztucznej dobudówki literackiej — a więc forma czegoś w rodzaju reportażu scenicznego. Można tu wskazać świeżo wydaną książkę A. Oleby „Nowa Naprawa”, której treścią jest zorganizowanie się ubogiej wsi podkarpackiej, celem skolonizowania Zachodu. Naprawianie zakładają tam osadę, którą nazywają od matczynej „Nową Naprawą”. Książka ta na-

daje się do przeróbki scenicznej, w ten sposób, by poszczególnym rozdziałom odpowiadały sceny narady, przygotowań, podróży, założenia nowej osady. W ten sposób fakty życia i pracy chłopskiej, bez zbędnego koloryzowania i literackiego ozdabiania, bez wprowadzania naiwnej fabuły w rodaju historii kochanków, którzy z końcem sztuki szczęśliwie się łączą itp., mogą być w surowym kształcie przeniesione na scenę. Oczywiście takie ograniczenie tematyczne, jakie tu proponują organizatorzy konkursu, nie powinno być traktowane jako coś sztywnego. Warunkiem udania się konkursu musi być swoboda środków artystycznych, a więc i tematyka nie może być zakreślona rygorystycznie. Nie ma tu miejsca na analizowanie dokładne możliwości jakie stoją przed dramaturgiem ludowym, i dlatego projekt konkursu wylicza zakresy ogólnikowe, schematyczne. Zagadnienia wskazane w tym punkcie są tak obfite, że mieszczą w sobie najróżnorodniejsze odcienie; autor bez wahania może wprowadzić np. tematykę historyczną, ukazując walkę chłopca o wolność w czasach dawniejszych, a nawet inscenizując zdarzenia z historii Polski, o aktualnym wydźwięku społecznym (walka z niemieczyzną). Podobnie osobiste i rodzinne perypetie nie muszą być wykluczone, jeśli np. ukazują moralną ewolucję rodziny chłopskiej, konflikt pokoleń chłopskich (por. dramat Pogana „Rodzina Ciemnych”, drukowany w poprzednich nrach „Wsi”). W temacie tym mieszczą się nawet obrzędy ludowe, o ile ujęcie sceniczne nada im nowego sensu społecznego (np. „Dożynki” A. Kamińskiej, drukowane we „Wsi”, ukazujące ów tradycyjny obchód w nowej perspektywie społecznej, w gminie w której nie ma już pana). Możliwa jest wreszcie przeróbka sceniczna istniejących już materiałów, np. powieści (por. „Śleboda” Orkana w inscenizacji Mierzejewskiej, inscenizacja ballad Zagadłowicza, inscenizacja „Franka Rakoczego”, wydane przez Instytut Teatrów Lud. w latach 1937-39), a nawet materiałów socjologicznych, pamiętnikarskich (Pamiętniki Chłopów, Emigrantów), w postaci uscenizowanych monologów, ilustrowanych teatralnie, itd., itd. Czerpiąc jednak z tych materiałów i wykorzystując bogactwo możliwości, powinien autor pamiętać o koniecznym wydźwięku społecznym, o sensie pedagogicznym, moralnym, ideologicznym, który wyda się niezbędny w tym nowym dramacie.

3) Artystyczne wartościowa forma. Trzecie wreszcie zastrzeżenie, jakie wyznaczają organizatorzy konkursu, tyczy zakresu i charakteru ambicji artystycznych utworu. Punkt ten wydałoby się zbędny, bo jest wszak oczywiste, że konkursowe dzieło literackie musi odpowiadać wymaganiom artystycznym, wyznaczonym przez sam fakt konkursu. Jednak gdy idzie o scenę ludową, zastrzeżenie takie jest konieczne, i winno być jasno określone. Powołujemy się tu na walkę, ja-

ką staczał przez całe życie Jędrzej Cierniak, nieustrudzony organizator teatrów ludowych, długoletni redaktor i wydawca „Teatru Ludowego”, tępiąc nieszczęśliwą tradycję „sztuczki dla ludu”, zapoczątkowaną przez Anczyca i eksploatowaną potem w dziesiątkach żalostnych utworów, zaśmiecających scenę ludową. Utwór taki ma u swej genezy poglądy, że lud jest niedorozwinięty umysłowo, podobnie jak dziecko, i wymaga traktowania specjalnie pobłażliwego. Konsekwencją tego poglądu jest infantylna naiwność fabuły, glupawość postaci i wygłaszanych przez nie maksym, i ogólny ton uproszczenia, „jałmużny kulturalnej” jak nazwał Cierniak podobną twórczość, którą bez przesady można określić jako antyludową. Jako wzór utworu, dostosowanego do wymagań sceny ludowej, a wartościowego artystycznie, wskazywał Cierniak „Wóz Drzymały”, Józefa Raczkowskiego. Tak więc, pomimo ograniczenia, jakie nakłada ubóstwo środków sceny ludowej, obowiązuje dramaturgię ludową dbałość o wysoki poziom myślowy i artystyczny utworu, przy czym nie ma potrzeby uważać widza ludowego za niedojrzałego do zrozumienia nawet trudnych i subtelnych chwytów literackich czy scenicznych. W zakresie formy pozostawiają organizatorzy konkursu zupełną swobodę autorowi, jako jedyne wymaganie stawiając, by utwór posiadał zalety dobrej sztuki popularnej, nie wysuwając zaś żadnych szczególnych postulatów w zakresie fabuły, charakterystyki czy języka. Podobnie nie jest wymagany realizm, jako jedyna forma dopuszczalna; przeciwnie, trzeba się zgodzić, że wielkie tematy społeczne, jak wojna, rewolucja, emigracja, również dobrze mogą być wyrażone przez schematyczne uproszczenia, przez symboliczne postaci, zarówno przez patos poetycki co przez realny obraz rzeczywistości.

Mimo jednak, że organizatorzy konkursu uważali za stosowne ująć w kilku punktach wymagania, jakie stawiają utworom konkursowym, stwierdzają jednak, że pożądanym jest napływ również utworów, które nie mieszczą się w określonych wyżej ramach, i że utwory takie bezwzględnie będą wzięte pod uwagę przez sąd konkursowy. Zamiarem bowiem konkursu jest uzyskać jak najwięcej prac, celem zorientowania się w możliwościach dramaturgii ludowej. Tak więc mogą i powinny być nadesłane na konkurs utwory trudne, które nie zdołają się pomieścić w ramach teatru ludowego, wyrażają przecież współczesne problemy ludowe; należą tu utwory fantastyczne, trudne poematy dramatyczne, wreszcie dzieła przeznaczone na scenę ogólnonarodową. Wreszcie sztuki autorów chłopów, nawet w wypadku, gdy nie wiąże się tematem i charakterem z problemem wsi, również będą wzięte pod uwagę, i mają szansę otrzymać nagrodę. Należy jednak podkreślić, że pierwszeństwo będą miały utwory, odpowiadające warunkom oznaczonym w trzech wyżej wyliczonych punktach.

Z. K.

## NAGRODY:

I	—	20.000 zł.
II	—	15.000 „
III	—	10.000 „

Na konkurs można nadsyłać tylko utwory dotychczas niedrukowane, natomiast rzeczy które były wystawione, ale nie drukowane, mogą uczestniczyć w konkursie. Do tekstu należy dołączyć zaklejoną kopertę z nazwiskiem i adresem autora, przy czym na kopercie należy umieścić godło. Takie samo godło należy wypisać na egzemplarzu sztuki.

Po zamknięciu konkursu, redakcja tyg. „Wieś” w porozumieniu z kierownikiem Wyd. Kultury Zw. Samopomocy Chłopskiej, poda skład Sądu Konkursowego. Organizatorzy Konkursu zastrzegają sobie pierwszeństwo nabycia i drukowania nagrodzonych i nadesłanych utworów.

TERMIN NADSYŁANIA UTWORÓW NA KONKURS UPLYWA

W DN. 1 LISTOPADA 1946 R.

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król. — FOMITET REDAKCYJNY: Katuszyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Oleba Antoni, Pięta Stanisław. KOMITET TERENOWY: Frasiak Józef Andrzej, Nęcza-Kubinić Stanisław

REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 96 tel. 1-00-98

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz wydawniczej „Czytelnik”.

CENY OGŁOSZEŃ: kolumna zł 60.000 1/2 kolumny zł 30.000, 1/4 kolumny 15.000 1/8 kolumny 8.000 zł, 1/16 kolumny zł 5.000. Drobne ogłoszenia 25 zł, za 1 mm na 1 szpalce. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wieś” Łódź Piotrkowska 96 i p. telefon 1-00-98.